

Nr. 302.

17302

10081

BIBLIOTEKA Powszechna

E. Sue.

NOWELE

przełożył z francuskiego

LEON STERNKLAR.



Każdy tomik można osobno nabyć

Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA

W ZŁOCZOWIE.

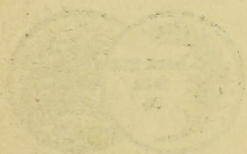
NA SKŁADZIE
w każdej księgarni.

WILHELMINA

1890

NOV 11

1890



WILHELMINA

1890

1890

[Eugene]
Eugeniusz Sue.



NOWELÉ

przełożył z francuskiego

LEON STERNKLAR.



W Złoczowie.

Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.



I. 540.749/

11
187

/302

KORSARZ

Urywek z pamiętników Nieznajomego.

. Uzyskawszy od admirała kilku-miesięczny urlop zwiedziłem, ciekawością wiedziony, wszystkie porty kanału La Manche, które w czasie ostatniej wojny francusko-angielskiej dostarczyły tak wielkiej liczby nieustraszonych korsarzy. Byłem podówczas jeszcze bardzo młodym i nigdy nie widziałem korsarza, pragnąłem więc usilnie ujrzeć prawdziwy typ takiego, z wieczną klątwą na ustach, a fajką w zębach, z okiem krwią na bieżym i ciałem okrytem : nami tak głębokimi, iżby w nich pięść zanurzyć można.

W jednej z nadbrzeżnych miejscowości, w której się pewien czas zatrzymałem, objawiłem to naiwne życzenie staremu przyjacielowi mej rodziny, któremu byłem polecony. Był to człowiek bardzo rozsądny i miły w obejściu. Wysłuchawszy mnie spokojnie rzekł: „A więc dobrze, jutro zasiądziesz pan u mnie do obiadu w towarzystwie korsarza.“

— Korsarza? — wykrzyknąłem.

— Tak, prawdziwego korsarza — odparł — korsarza, jakich jest mało, który sam jeden złupił więcej statków, aniżeli wszyscy jego współbracia razem, od czasu walk pod Dunkerką, aż do Saint-Malo.

Przez całą noc nie mogłem usnąć, a dzień następny wydał mi się nieskończenie długim, chociaż próbowałem czytać „Korsarza“ Byrona, by się odpowiednio nastroić do tego uroczystego spotkania.

○ godzinie piątej zjawiłem się u mego przyjaciela. Dziś mi się to śmiesznem wydaje, że ubrałem się owego dnia wykwintniej i z większą starannością niż zwykle. Gospodarz wydał mi się zakłopotanym, co mnie tak przeraziło, iż zadrżałem mimowoli.

— Nasz korsarz, rzekł, przyjdzie aż pod koniec obiadu, właśnie zajęty jest konferencyą, z kapitanem, komendantem portu.

— A więc poczekamy na niego, odparłem odychając nieco swobodniej.

Zasiedliśmy do stołu. Wyznaczono mi miejsce obok gospodyni, a po mej prawej stronie usiadł jegomość, około sześćdziesięciu lat liczący, którego traktowano w domu nadzwyczaj poufale i nazywano krótko Tomem.

Odziany był bardzo starannie w ubiór czarny, który wybornie odbijał od bielizny śnieżnej białości. Twarz jego jowialna tchnęła szczerością,

oko pełne życia, policzki świecące zdrowiem, a w całej postaci rozlany był wyraz dobroduszości, który przejmował patrzącego zadowoleniem. Opowiadał mi wiele o swem rodzinnem mieście, którem się chlubił, o zamierzonych upiększeniach, o współzawodnictwie między szkołą braci-szków a szkołą wzajemnej nauki, a nakoniec oznajmił mi z rodzajem dumy, że jest członkiem rady municypalnej, kapitanem gwardyi narodowej, a nawet ma niejaki wpływ na sprawy kościelne. Uwierzyłem mu na słowo. W każdej innej chwili szczegóły te byłyby mnie wielce zajmowały, lecz wtedy właśnie wydawały mi się, muszę wyznać, nudne i jednostajne, gdyż myśl ma była cała zaprzątnięta moim korsarzem, który nie nadchodził. Napróżno nasz gospodarz, w uprzejmości swej, by mnie rozerwać, począł drażnić Toma jakąś studnią, walącą się w gruzy, w dzielnicy, której nadzór jemu specjalnie był poruczony. To zachowanie się gospodarza obudziło we mnie przekonanie, że Tom posiadał obok innych zalet towarzyskich i municypalnych usposobienie w najwyższym stopniu łagodne, zgodne i wesołe.

Podano wety, a gdy słudzy się oddalili, zrozpaczony i nie mogąc się dłużej powstrzymać, prawie płaczącym tonem zagadnąłem naszego amfitryona: — Niestety pański korsarz zapomniał o panu.

— Jaki korsarz? zapytał pan Tom, obierając spokojnie orzechy z łupy.

— Ależ komisarz marynarki, którego zaprosiłem, odparł gospodarz śmiejąc się do rozpuku z swego dowcipu.

Splonąłem potężnym rumieńcem, a ogarnął mnie tak silny gniew, iż jedynie przez wzgląd na obecność dwóch kobiet potrafiłem zapanować nad sobą. Nie wiem jednak, czybym się mimo to nie dał był unieść swej porywczosci, gdym zauważył, że zamiast odpowiedzi gospodarz spojrział na resztę towarzystwa z dziwnym uśmiechem, a ci się również uśmiechnęli, z wyjątkiem jednego Toma, który się zaczerwienił aż po uszy i spuścił głowę z wyrazem zawstydy.

— Oto ten zacny człowiek sam jeden oburza się tą śmieszną sceną, pomyślałem, składając w duchu gorące podziękowanie godnemu radcy muni-cypalnemu.

— No dosyć już tych żartów, przemówił wreszcie gospodarz w tonie poważnym, a serdecznym — wybacz pan, jeżeli być może nadużyłem przywileju starości. Uczyniłem to tylko w tym celu, by cię ustrzedz od z góry powziętych uprzedzeń, bo one są powodem, że się później mylnie osądza ludzi, którzy w nas budzą zainteresowanie. Jeżeli ich znajdziesz takimi, jakimi są w rzeczywistości, a nie jakimi sobie ich przedstawiałaś w bujnej wyobraźni, fantazja twa oburza

się na rzeczywistość i gotów jesteś, przez złość, że się pomyliłeś, niesprawiedliwie ich osądzić lub pozostać dalej przy pierwotnem złudzeniu.

Spojrzałem z zdumieniem na gospodarza. Miałem lat szesnaście, on sześćdziesiąt; zresztą w tych kilku słowach jego mieściło się tyle życzliwości i rozsądku, że nie mogłem w żaden sposób się gniewać.

— Najlepszym dowodem prawdziwości mych słów — mówił dalej — jest, że gdybym natychmiast ci był wskazał naszego korsarza mówiąc, oto on, jestem przekonany, że byłbyś odniósł zupełnie inne wrażenie, aniżeli to, na jakieś się przygotował, a jednak ten nieustraszony bohater, o którym ci mówiłem, jest tu między nami i jadł wraz z nami obiad.

Uczyliłem gest zdziwienia.

— Daję panu moje słowo, wyrzekł gospodarz tak poważnie, iż musiałem mu wierzyć.

Powiodłem więc badawczem okiem po twarzach obecnych, które rozjaśniał uprzejmy uśmiech, ale nigdzie nie mogłem odkryć korsarza.

— Przypatrz mi się pan dobrze, rzekł Tom z szczególnym uśmiechem.

Wtedy gospodarz wskazując ręką na Toma przemówił:

— Mam zaszczyt przedstawić panu kapitana Tomasza S...

— Kapitana S...! pan jesteś owym dzielnym

kapitanem? wykrzyknąłem, bo nazwisko, niestraszona odwaga i męstwo owego bohatera były mi dobrze znane. I pozostałem nieruchomy z zdumienia i podziwu, a serce biło mi głośnym i przyspieszonym tętnem.

— Tak, ja sam nim jestem, odpowiedział korsarz, obierając i gryząc dalej orzechy.

— Pan jesteś owym sławnym kapitanem? powtórzyłem raz jeszcze, pożerając go oczami. I zdawało mi się po tem odkryciu, że lada chwila czoło radcy municypalnego pokryją groźne chmury, z oka padną błyskawice, głos zagrzmi, podobny do gromu. Ale błyskawic i gromów nie było ni śladu, natomiast korsarz przemówił do mnie z największą grzecznością:

— Jeżelibyś pan chciał zwiedzić port i stanowisko okrętów, jestem na pańskie usługi.

Poczem znów powrócił do swych orzechów.

Wydawało mi się, że je zanadto lubi, jak na korsarza.

W samej rzeczy byłem mocno zmieszany, bo chociaż nie przesadzałem w idealizowaniu, to jednak utworzyłem sobie zupełnie odmienny obraz człowieka, który wiódł życie tak krwawe i obfite w niebezpieczeństwa. Nie mogłem pojąć, by tyle wrażeń potężnych a strasznych nie pozostawiło ani jednej zmarszczki na tem jasnym i pogodnym czole, najmniejszego śladu na jego twarzy rumianej i uśmiechniętej.

Gospodarz widząc moje zdziwienie, rzeki do korsarza: — Patrz pan, panie Tom, on panu nie wierzy; aby go przekonać mów mu coś o twoim zawodzie albo najlepiej opowiedz mu twą ucieczkę z Southamptonu.

Kapitan Tom skrzywił się niechętnie. Na moją uwagę gospodarz nie nalegał dłużej, a ja nawiązałem pogadankę z kapitanem, zawsze uprzejmym i pogodnym, o jego głośnych walkach, które remi nas, młodych adeptów marynarki, w dzieciństwie do snu kołysano.

Uwaga, z jaką się mu przysłuchiwałem, dotknęła mile kapitana Toma, rozmowa nasza wkrótce się ożywiła; wyjawiał mi nawet niektóre szczegóły o sposobie prowadzenia walki, a wszystko to w tonie spokojnym i łagodnym, który dziwnie odbijał od ponurego i pełnego grozy przedmiotu rozmowy.

Między innemi nie zapomnę nigdy odpowiedzi jego na moje pytanie, w jaki sposób uderzał na nieprzyjaciela.

Bawiąc się widelcem odparł najspokojniej w świecie:

— Mój Boże, stając do walki z okrętem nieprzyjacielskim, miałem zwyczaj, który uważam za bardzo dobry i który mogę panu polecić do zastosowania przy sposobności, bo to rzecz bardzo prosta — dodał mniej więcej tonem gospodynii zachwalającej wyborną receptę do sma-

zenia konfitur — oto w chwili, kiedy znajdowałem się oko w oko naprzeciw pokładu nieprzyjacielskiego okrętu, zasypywałem go od razu gradem kul naszych muszkietów i dział, nabitych potrójnym ładunkiem. I nie możesz pan sobie nawet przedstawić, jaki to miało skutek — dorzucił kapitan obracając się na pół ku mnie i potrząsając głową z wyrazem głębokiego przekonania.

Pozwoliłem sobie zapewnić kapitana, że jestem w stanie dokładnie sobie wyobrazić skutek, jaki musiał wywołać ten znakomity środek, który w rzeczy samej był bardzo prosty.

— Ba! Tom tylko udaje takiego zucha — rzekł gospodarz złośliwie — ale nie powiedział ci jeszcze, że się boi upiorów.

— O! upiorów! zawołał wesoło Tom, napętniając kieliszek wyśmienitym curacao.

— Tak, upiorów, powtórzył gospodarz.

— Czyż cię nigdy nie odwiedza człowiek z wydłubanymi oczami?

Wtedy twarz kapitana przybrała szczególnie wyraz, poczerwieniał, oko jego pierwszy raz się ożywiło, a próżny kielich postawił na stole i zawołał gładząc dłonią siwe włosy i odstawiając wysokie czoło:

— A więc dobrze, widzę, że gospodarz nasz chce koniecznie, bym opowiedział moją ucieczkę z Southamptonu, z którą się łączy ta przekłeta przygoda. Posłuchaj mnie zatem, młodzieńcze.

— Lecz nie zapominaj, kapitanie, o obecności dam — rzekł nasz gospodarz, wskazując na żonę i jedną z jej przyjaciółek.

— Na honor — odparł Tom — jeżeli w zapale opowiadania powiem co niestosownego, to proszę sobie tylko wyobrazić, że opuściłem te słowa i położyłem w ich miejsce kropki.

Nie wiem, czy to było złudzenie, czy może likier zaczął działać na kapitana, czy może był to wreszcie demoniczny, pełen ponurej grozy urok, jakim działa wypisane na czole dumne miano korsarza, ale skoro rozpoczął opowiadanie, zdawał się niejako rozkazem wymagać powszechnej uwagi. W moich oczach był to już człowiek zupełnie inny, a nie radca municypalny.

Opowiadanie swe temi rozpoczął słowy:

O ile sobie mogę przypomnieć, działo się to w wrześniu roku 1812.

Wiał właśnie świeży wiatr od północnego zachodu, a statek mój, który z pomyślnym skutkiem krążył na wodach kanału, wracał spokojnie do portu w Calais, leniwym krokiem wiodąc za sobą zdobycz, duży bryg o 280 beczkach, naładowany cukrem i drzewem angielskim. Wtem oficer mój, który nim dowodził, sygnalizuje zbliżający się ku nam okręt. Spoglądam uważnie, żagle ogromne, jakby gmach jaki, to pierwszorzędna fregata. Przeklęty bryg posuwał się ociężale naprzód, rozkazałem przeto dowodzącemu

nim oficerowi rozpostrzedz wszystkie żagle, a zarazem przyspieszam wedle sił ruch mego mizernego, małego statka, który pędzi naprzód jak dyabeł. Zaczynamy oddychać swobodniej i gonimy co się zowie, lecz na nieszczęście fregata ściga nas zawzięcie i po trzech kwadransach gonitwy jest już na naszych wodach.

Dla wyrażenia prośby, bym się zatrzymał, wysłała za mną dwa strzały armatnie, które zabiły mi młodego żołnierza i zraniły trzech ludzi.

Dla formy, jedynie dla formy, odpowiedziałem gradem kartaczów, który zmiotł pół tuzina Anglików. W końcu jednak dostałem się do niewoli, lecz komendant angielski, któremu imię moje nie było obce, przyjął mnie z wszelkimi względami. Trzeci raz wtedy pojмали mnie Anglicy, ale zawsze jakoś poszczęściło mi się wy dostać z więzienia.

Podążyliśmy tedy ku Portsmouth i przybyliśmy tam mniej więcej o tej porze, o której spodziewałem się być w Calais. I tak zamiast uściskać matkę i brata, odwieźć zdobycz do portu i spędzić noc na stałym lądzie, dostałem się wprost na nieprzyjacielski okręt wojenny, gdzie długi czas może miałem więźniem pozostać.

Przykra to dola, ale byłem wówczas młody, czerstwy, przedsiębiorczy, miałem pas nabity gwineami, a przedewszystkiem niepokonana tęsknota za Francją dawała mi siłę olbrzyma.

To też kiedy komendant angielski wobec całego swego sztabu w długim przemówieniu oznajmił mi, że odtąd będę pod ścisłym zamknięciem w osobnej trzymany kajucie i bez przerwy strzeżony, że próbując ponownie uciekać narażę swe życie na niebezpieczeństwo, odpowiedziałem mu na cały ten potok wspaniałych frazesów tylko tyle, że może....

— Tomie, Tomie — wykrzyknął na szczęście gospodarz, bo kapitan w zapale opowiadania począł wymawiać spółgłoskę, zapowiadając wyrażenie nader drastyczne.

— Ależ to prawda, tak jak państwu opowiadam, odrzekłem mu temi słowy, że mogą mnie...

— Tomie — powtórzył gospodarz — nie dlatego ci przerywam, jakobym chciał wątpić o prawdzie słów twoich, ale zważ na obecność dam.

— A tak, prawda — rzekł kapitan — a więc powiedziałem komendantowi, że sobie drwię z tego wszystkiego, że mimo to się im wymknę. — Zobaczymy — odparł Anglik. Jestem pewny tego — odpowiedziałem. I wysłano mnie do Southampton-Lake, na pokład okrętu wojennego „Korona.“

Southampton-Lake to dość duże jezioro oddalone około piętnastu mil od Portsmouth. Jedynie wyjście z tego jeziora to wązki kanał, wpadający w odnogę morską, która zdaża od północnego wschodu ku południowemu zachodowi,



a ta odnoga tworzy po drodze porty Portsmouth, Spithead i Św. Heleny, okrąża wyspy Portrea, Haling i Torney i wpada wkońcu do kanału La Manche.

Wszystkie te szczegóły przytaczam jedynie w tym celu, abyście państwo wiedzieli, że to przekłete jezioro było pozycją nie do zdobycia i z tego powodu doskonale wybrane, by służyć za stanowisko dla stojących tam na kotwicy kilkunastu okrętów wojennych, na których się mieściło podówczas kilka tysięcy jeńców francuskich. Pomiędzy nimi znalazłem się wkrótce i ja, jak już wspomniałem, na pokładzie „Korony.“

Okrętem tym dowodził jednoręki Rosa. Był to lis chytry i przebiegły, zresztą młody, piękny i odważny żołnierz, który stracił jedno ramię w bitwie pod Trafalgar i nienawidził Francuzów równie gorąco, jak ja Anglików. Miał zresztą zupełną słusność i nie mogłem mu tego brać za złe, bo każdy z nas służył swojej ojczyźnie.

Pierwszego dnia, skoro tylko przybyłem na pokład, oprowadzał mnie po swym okręcie i pouczał o wszystkich szczegółach, jako to kraty, zamki, pułapki, zasuwki, mosty zwodzone, belki, patrole, chodzące co kwadrans na zwiady, badania ścian, które nie dawały chwili spokoju staremu statkowi. W końcu oznajmił mi, że oprócz tych środków ostrożności, będę miał zawsze przy sobie na me rozkazy kaprała, który mnie, jak cień,

ani na chwilę nie opuści, aby — dodał z szyderstwem — na niczem mi nie zbywało.

— Jednak, jeżelibyś mi pan dał słowo honoru, że nie myślisz uciekać — powiedział — pozwolę ci codziennie iść na ląd, a pokój twój na pokładzie nie będzie zwiedzany przez strażę.

— Jesteś pan zbyt łaskaw — odpowiedziałem — ale nie mogę dać ci na to słowa honoru, bo oto, widzisz pan, dniem i nocą, rankiem i wieczorem jedna myśl mną ustawicznie włada, jedna idea, jedna wola, a to uciec stąd na wolność.

— Masz pan słuszność, jabym na pańskim miejscu nie inaczej postąpił — odparł jednoreęki — uprzedzam cię atoli o jednej rzeczy, a mianowicie, że gra ta zaczyna mnie interesować i że i wszelki środek będzie w mych oczach dobrym, by ci przeszkodzić w ucieczce.

— To słusznie — zawołałem — bo i dla mnie każdy środek będzie dobrym, by się stąd wydobyć.

Faktem jednak było, że chyba dyabeł mógł się stamtąd wydostać. Bo proszę sobie wyobrazić, że wszystkie okna i otwory, przepuszczające światło dla dział okrętowych, były opatrzone w potrójne kraty, tak iż nie można było nawet myśleć o ucieczce tamtędy, tem bardziej, że te sztaby żelazne oglądano pięć lub sześć razy dziennie i tyleż razy w nocy. Przypuśćmy jednak, że udało się komu przedostać przez takie okienko.

to napotykał zewnątrz na rodzaj małej galeryi, otaczającej okręt, na której się ustawicznie przechadzali strażnicy. A gdyby mu się nawet udało przedostać przez ten łańcuch wart, to niechybnie musiał wpaść w ręce zbrojnych patroli, krążących nocą czółnami ze wszystkich stron dokoła okrętu. Wreszcie choćby się komu poszczęściło pokonać te wszystkie zapory, to musiał jeszcze przebyć wpływ jezioro aż do brzegów oddalonych po obu stronach okrętu prawie o półtora mili.

Ale i to jeszcze nie wszystko; gdyby woda jeziora była wszędzie głęboką lub miała bród, to taka przeprawa, chociaż nader niebezpieczna, byłaby przecież możliwą, czyniło zaś ją prawie niewykonalną to, że aby się dostać na ląd, trzeba było koniecznie przebyć trzy pokłady gęstego szlamu, miękkiego i lepkiego, po którym nie można było ani pływać, ani stąpać. I prawdę powiedziawszy, owe pokłady mułu ułatwiały w znacznej części strzeżenie jeńców na okrętach. Także i szpiegowie wysługiwali się Anglikom, gdyż wszędzie jest dużo takich nędzników a w więzieniach jeszcze więcej, niż gdzie indziej, bo niedoła upadła ludzi i na dziesięć wypadków udaremnionej ucieczki można śmiało policzyć dziewięć takich, które się nie powiodły wskutek zdrady towarzyszy Judaszów.

Więźniowie usiłowali wprawdzie zapobiedz tym niedogodnościom, kałęcząc w sposób okrutny,

którego nie wymienię przez wzgląd na obecność pań (zauważył z galanterią kapitan) zdrajców sprzedawczyków, skoro komendanci angielscy nie zabrali ich zawczasu z pokładu, ale to wiele nie pomagało, zdrada kwitła dalej w najlepsze, bo Anglicy opłacali ją sownie.

Byłem już od ośmiu dni więźniem na pokładzie „Korony“, gdy pewnego poranku rozeszła się wieść, że niejaki Dubreuil, majtek z tych samych stron, co i ja pochodzący, zresztą wielki łotr, umknął w czasie nocy, zdoławszy, jak się zdaje, skryć się wieczorem w jednej z dużych łodzi patrolujących dokoła. Gdy łódź raz odpłynęła, a noc była ciemną, wzięto go za majtka, pełniącego służbę, później zaś, gdy się nadarzyła sposobna chwila, rzucił się w wodę, dał nura i znikł bez śladu.

Pojmiecie państwo, że ta wiadomość podnieciła jeszcze we mnie pragnienie ucieczki, nie miałem jednak w mem otoczeniu żadnej osoby, godnej zaufania, któregojby się mógł z swym planem zwierzyć, a z powodów poprzód wymienionych nie chciałem go zbyt lekkomyślnie poczynać. Wtem szczęśliwa ma gwiazda przywiodła jako jeńca na pokład „Korony“ a jednego z mych najbliższych przyjaciół, kapitana statku korsarskiego. Był to mężczyzna pełen energii, silny, przedsiębiorczy, słowem zuch, co się zowie.

Skorośmy się pierwszy raz tutaj zobaczyli,

zrozumieliśmy od razu, bez słów, że przedewszystkiem komendant nie powinien nic wiedzieć o tem spotkaniu. Na pozór też raczej na nieprzyjaznej stopie żyłem z Tilmontem. Tak się ów kapitan nazywał.

Tilmont miał ze sobą starego marynarza, imieniem Jolivet, któremu ślepo ufał, bo od dwudziestu lat razem żeglowali po morzu. Ułożyliśmy tedy między sobą, co czynić należy, a w ośm dni po ucieczce Dubreuil'a sprawa wzięła pomyslny obrót.

Owego dnia zrana jednoręki zawezwał mnie do swej kajuty. Twarz jego promieniała zadowoleniem, był świetnie wystrojony i nadymał się chępliwie, trąc ręką brodę i prostując się, jakby chciał sobie krzyże przełamać, a nie mnie powitać.

— Kapitanie — rzekł — zapuściłeś się ze mną w niebezpieczną grę i przegrałeś ją. Tem gorzej dla ciebie, bądź na drugi raz ostrożniejszym w wyborze powierników.

— Jakto? zapytałem bez najmniejszego zmieszania.

— To znaczy — odparł niedbale, otrzepując z kurzu swój kołnierz — że miałeś uciec jutro lub w tych dniach otworem wydrążonym w ścianie kadłuba okrętowego, po lewej stronie okrętu. Niejaki Jolivet wydrążył ten otwór, dałeś mu dziesięć luidorów, by ci dopomógł, odemnie zaś żądał on piętnaście gwinei, by mi ten plan

sprzedać i dałem mu je bez namysłu, bo to się w istocie opłaciło.

Możecie sobie wyobrazić, że byłem w rozpaczy i byłbym udusił Joliveta, gdybym go dostał w swe ręce.

— Ucieczka tak dobrze obmyślona — zawołałem do jednorękiego, tupiąc nogą z gniewem — w tak dogodnej chwili, gdy już miała się udać!

— Pojmuję, że to rzecz przykra, odparł niegodziwy Anglik, ale by cię pocieszyć, kapitanie, wychylmy po kielichu Madery na pomyślny wynik twej następnej ucieczki.

— Cóż mam począć — odpowiedziałem — można złe jeszcze naprawić, na szczęście jest na okręcie dość ścian do robienia otworów.

A gdy zręszta nie było jeszcze powodu, sobie zaraz życie odbierać, wypiliśmy na pomyślny przebieg mej następnej ucieczki i poszliśmy na przechadzkę około dolnej baterji okrętowej. Byłem pogrążony w smutku, a raczej przybrałem pozór taki, natomiast jednorękiego nigdy jeszcze nie widziałem tak wesołym; dowcipkował, gwizdał, pośpiewywał fałszywie, jak prawdziwy Anglik, słowem nie umiał ukryć tryumfu, że zdołał zapobiedz mej ucieczce i miał do tego zupełne prawo.

Gdyśmy się tak przechadzali pół godziny, on ciągle wesoły, a ja przygnębiony, nagle uszliśmy nad głowami piekielny hałas, który prze-

rwał naszą rozmowę i tak nie bardzo ożywioną

— Co to ma znaczyć? zapytał komendant schodzącego właśnie na dół kadeta.

— To więźniowie tak tańczą, dziś tam na górze u nich bal, tak jak codziennie teraz.

A na to niegodziwy komendant:

— Każ pan natychmiast przestać, ta radość więźniów jest niestosowną w dniu, w którym jednemu z nich ucieczka się nie powiodła; niechaj dziś zaniechają zabawy.“

I zanim mogłem przeszkodzić, przeklęty kadet powrócił no górę, a ów zgiełk, który nas prawie ogłuszał, natychmiast ucichł. Wtedy to, muszę wyznać, zbladłem mimowoli jak trup, bo w chwili gdy tańce ustały, lekki szmer, którego na szczęście nikt prócz mnie nie zauważył, dał się słyszeć po za ścianą, zamykającą kajutę Tilmonta, nad którą więźniowie z szczególnem tańczyli upodobaniem. Ten cichy szmer, podobny do zgrzytu piły, trwał zaledwie sekundę po ustaniu tańców, ale jak powiedziałem, sekunda ta wystarczyła, by mi sprawić nieznośny ból, równie gwałtowny, jak gdyby mnie kto tą piłą w serce ugodził.

Jednoręki na szczęście bladość mą wziął za wyraz gniewu, bo też natychmiast wykrzyknąłem z wściekłością:

— A ja sprzeciwiam się temu i twierdzę, że karać tych biedaków za to, że byłem na tyle

głupi i dałem się podejść, to niesprawiedliwość. Pan chcesz wzbudzić u moich ziomków nienawiść ku mnie, to jest podłość, rozumiesz pan, podłość w najwyższym stopniu i jeżeli jesteś człowiekiem honoru, pozwolisz im napowrót rozpocząć tańce.

— Uspokój się, kapitanie — odrzekł uprzejmie jednoręki — chcę sam we własnej osobie dać im to pozwolenie.

— I to bydlę, ten głupi, trzykroć głupi Anglik sam poszedł na górę, słyszycie państwo, poszedł sam, zawołał kapitan, podskakując na krześle i klaszcząc w dłonie z radością i głośnym wybuchem śmiechu, który nas przejął zdumieniem.

— Muszę wam wyjaśnić, dlaczego to wspomnienie tak mnie do śmiechu pobudza, dodał, uspokoiwszy się nieco — bo oto nie wiecie moi państwo jednej rzeczy. Tych ludzi, co tak głośno tańczyli, to ja od ośmiu dni opłacałem, dając im po dwadzieścia sous każdemu, by wyrabiali ów piekielny hałas ponad kajutą poczciwego Tilmonta, rzekomo aby go drażnić, w istocie jednak w tym celu, aby nie było słyhać szmeru, jaki on sprawiał, wydrążając przez ten czas otwór w ścianie swej kajuty, będącej w tem miejscu także ścianą okrętu.

Bo zdrada Joliveta to był fortel umówiony między nim, mną i Tilmontem, a tajemnicę otworu, który on miał rzekomo dla mnie wydrążyć, sprzedał jedynie w tym celu Anglikowi

by odwrócić uwagę jego i zarazem zasilić nasze fundusze piętnastoma gwineami, które mu zapłacił jednoręki. A właśnie owej nocy miałem przystąpić do wykonania planu, bo otwór przez Tilmonta sporządzony był już dość wielki, a pora również sprzyjała, gdyż zapowiadał się silny wiatr północno-zachodni, zwiastun nocy ciemnej i burzliwej.

Jak już nadmieniałem, działo się to w ośm dni po ucieczce Dubreuila. Jolivet pozornie zdradził mnie Anglikowi za pieniądze, tańce jeńców rozpoczęły się na nowo, a ja miałem na twarzy wyraz rozpaczy, zaś w duszy myślałem wciąż o Francyi, gdyż Tilmont uwiadomił mnie umówionym znakiem, że wszystko już do ucieczki gotowe.

Chciałem wstąpić na pokład, by się jeszcze przekonać, w którym kierunku dmie wiatr, gdy nagle usłyszałem gwizdawkę komendanta, wzywającą wszystkich na górę. W tejże samej chwili sternik przybył oznajmić mi, że komendant woła mnie do siebie. Nie wiedziałem, co to wszystko ma znaczyć, wstępuję mimo to na górę i tu nadzwyczajny obraz przedstawia się moim oczom. Wszyscy oficerowie okrętowi zgromadzili się tam w paradnych mundurach, załoga stanęła pod bronią, więźniowie, jak zwykle, ustawili się w przedziale naprzeciw armat, których paszcze nabite kartaczami i gotowe do strzału zwrócone były ku ich szeregom.

Komendant Rosa przybrał wyraz uroczysty i poważny, jakiego jeszcze u niego nie widziałem. Stał wyprostowany, u nóg jego leżał hamak, złożony na pokładzie i czarną przykryty banderą. Skinął dobozom, ozwały się bębny, a gdy umilkły, przemówił temi słowy po francusku:

— Przed ośmiu dniami uciekł z naszego okrętu jeden z więźniów. Dostawszy się na pokłady szlamu ugrzązł w nich. Otóż patrzcie, co się z nim stało.

A zwracając się do mnie dodał:

— Kapitanie, patrz, czy nie poznajesz przypadkiem tego towarzysza?

I mówiąc to strącił nogą czarną banderę, która okrywała hamak u stóp jego. Ujrzałem wtedy ciało zupełnie nagie, nabrzmiące, o barwie zielonawej, ale co najokropniejsze wrażenie robiło, to twarz trupa całkiem poszarpana i pokrwawione jamy oczne, próżne, z których oczy kruki wyżarły.

Po tej twarzy podartej na szmaty i żarem słonecznym spalonej można było poznać, że niešťeśliwy zbieg ugrzązłszy w gęstym i lepkiem szlamie, nie mógł się stamtąd wydobyć, że pełen siły i życia przez kilka dni wyczekiwał niechybnej śmierci. A może przy końcu swej agonii widział, jak żarłoczne ptactwo krążyło około jego głowy i przewidywał straszny los, który go czekał

Nie mogę nawet opisać wrażenia, jakie wy!

warł widok tego trupa na mnie i na wszystkich obecnych. Krew mi się wzburzyła, bo pierwszą myślą, która mną owładnęła, było, że mam w nocy przebyć te same pokłady mułu i że ten sam los może i mnie spotkać. Miałem jednak zawsze dużo władzy nad sobą, opanowałem więc i tym razem gwałtowne wzruszenie, a gdy przekłety jednoręki spoglądnąwszy dokoła, by osądzić, jakie wrażenie ten widok zrobił na obecnych, zwrócił się ku mnie i ponownie zapytał: — Poznajesz więc, kapitanie, twego towarzysza? założyłem ręce na plecy i odrzekłem niedbale: — Poznaję wybornie tego towarzysza, komendancie. To Dubrenil, majtek z moich stron, ale nie żałuję go wcale, to nędznik, który bił swoją matkę.

Zimna krew moja, na którą się, muszę wyznaczyć, z trudem zdobyłem, zmięszała jednorękiego, trąciwszy więc nogą goleń trupa, na pół stoczoną przez robactwo, wykrzyknął prawie z wściekłością:

— Widzisz pan przecież, że przechadzka po pokładzie szlamu jest nieco przykra, bo trzeba czasem i głową nałożyć.

— Tak, jeżeli się jest na tyle nierozumnym, że się nie bierze ze sobą szcudeł, odparłem z mimowolnem szyderstwem, bo głupi Anglik, ukazując pokaleczoną nogę trupa, sam naprowadził mnie na doskonały pomysł.

Słowa me jedno... był widocznie za żart, bo arwał nagle i rzekł poważnie:

— Jak uważam, jesteś wesół, kapitanie?

— Bardzo wesół, komendancie — odparłem — wierzaj mi i każ wrzucić to ścierwo w morze. Mnie zaś nie próbuj więcej trwożyć takimi straszidłami i zapamiętaj sobie dobrze, co ci mówię: gdyby nawet sklepienie niebieskie mnie sobą przykryło, tobym w niem począł wiercić, by sobie wydrążyć otwór do uciezki. A teraz dobranoc.

I oddaliłem się, bo nie mogłem już dłużej panować nad sobą. Widok tego ciała w rozkładzie wzburzał mnie nad wyraz, a nadto, zamierzając tejże samej nocy puścić się w uciezkę, miałem ważniejsze rzeczy do załatwienia, niż wpatrywać się w zwłoki Dubreuila.

— I odważyłeś się uciec owej nocy, kapitanie? zapytała jedna z pań, opowiadaniem tem w najwyższym stopniu przerażona.

— Tak pani, odparł poważnie kapitan, — i przysięgam na moce piekielne, że to była noc okropna.

I prawdopodobnie pod wpływem wspomnienia tej energii i odwagi, którą owej pamiętnej nocy rozwinął, twarz kapitana Toma przybrała wspólny wyraz niezwalczonej siły i niezłomnego postanowienia. Spojrzenie jego było śmiałe i głębokie, w postawie przebijała pewność siebie. Było w nim coś wzniosłego i przez chwilę pod tą

powłoką powszednią i skromną ujrzałem człowieka, którego tak gorąco widzieć pragnąłem.

A kapitan tymczasem opowiadał dalej.

— Jak więc powiedziałem, otwór przez Tilmonta sporządzony był gotów i miałem natychmiast, jeżeliby noc się okazała dogodną, przystąpić do wykonania planu. Otóż noc owa sprzyjała przedsięwzięciu tak dalece, że około siódmej godziny wieczorem zerwał się na naszym jeziorze wiatr niezwykle silny. Niebo przysłoniły od strony północno-zachodniej gęste chmury, puścił się deszcz lekki a mroźny i zapowiadała się burza, która była dla mnie prawdziwym zbawieniem.

O ósmej godzinie wieczorem bębny wybiły capstrzyk, majtkowie udali się do swych hamaków, oficerowie do swoich kajut, a w dziesięć minut później pogasły wszystkie światła prócz światel strażniczych, i nastąpiła głęboka cisza, przerywana jedynie od czasu do czasu miarowym krokiem strażników, snujących się koło dział i po zewnętrznej galeryi. Wtedy to wilczym krokiem wkradłem się do kajuty Tilmonta, gdzie zastałem Joliveta. Muszę tu jeszcze nadmienić, że Tilmont był mniej strzeżony, niż reszta więźniów, bo komendant miał przekonanie, że oficer ten nie umie pływać, a zatem nie może nawet myśleć o ucieczce. Przypominam sobie żywo cały przebieg, jakby to się wczoraj działo. Jolivet wydalił się, by stać na czatach, Tilmont zaś siedział na

łóżku, obok stało składane krzesło, a na niem cynowy garnek, z którego dym się unosił.

— A więc chcesz koniecznie uciekać tej nocy? zapytał.

— Tak, mój marynarzu, to noc wyborna.

Na te słowa Tilmont odchylił nieco deskę, kryjącą otwór, a do kajuty wtargnął silny powiew wiatru, który o włos byłby zgasił małą lampkę, ukrytą pod łóżkiem. I ujrzeliśmy niebo przysłonięte chmurami, noc czarną, jak atrament, a krople deszczu lub piany morskiej, miotane gwałtownym wiatrem wpadały do kajuty. Kładąc deskę napowrót Tilmont spojrzał mi w oczy i rzekł:

-- Bez żartu, Tomie, wiesz, że pogoda nie jest wcale zachwycająca.

— Wiem, niech ją... (wybaczcie moje panie).

— Ależ ty głową nałożysz!

— Raz jeszcze powtarzam ci, że sobie drwię z tego. Czy mam zginąć tam, czy gdzieindziej, to mi wszystko jedno!

— Ależ posłuchaj tej burzy, Tomie, patrz, jak wiatr nami kołysze.

I w istocie przekłety okręt przechylał się z jednej strony w drugą, jakby lekki statek; była to burza nie lada. Próbując raz jeszcze odwieść mnie od zamiaru Tilmont odchylił ponownie deskę z otworu i mimo ciemności ujrzeliśmy jezioro w całej rozciągłości białe od spienionych fal. Fale na jeziorze! można sobie przedstawić

gwałtowność burzy. Dokoła niebo czarne i piekielny świst wiatru. Wyznaję, że to było szalone przedsięwzięcie puszczać się w taką porę wpraw w drogę półtrzecia mili, ale raz powiedziałem sobie, że się wybiorę, więc musiałem iść w drogę. Trzymałem się też dzielnie, a gdy Tilmont wciąż wyzierał przez otwór, odrzekłem mu: Choćbyś dwadzieścia razy wystawiał głowę przez okno, to nie zmienisz mojego postanowienia. Raz jeszcze daję ci słowo, jakem Tom, że idę dzisiaj w drogę. Tilmont wiedział dobrze, że skoro raz powiedziałem słowo honoru, jakem Tom, to nie ma co dłużej o tem mówić, odpowiedział więc z niezwyczajną powagą, zamykając otwór: „Bywaj zdrów, żegnaj mi.“

— Co tam jest wewnątrz? zapytałem, zaglądnąwszy w głąb cynowego garńka dymiącego, z którego się rozchodziła woń weale przyjemna.

— To rum, cukier i kawa, zmieszane i razem zgotowane, jest tego pełny kufel i napijesz się, Tomie.

— Nie — odpowiedziałem — niech mnie dyabli porwą, jeżeli postąpię tak, jak te psy, Anglicy, którzy dopiero wtedy nabierają odwagi, gdy są pijani.

— Powiadam ci, że się musisz napić, Tomie!

— Nie!

— Ależ tak!

I pomimo wzbraniania się musiałem pić, bo

Gdy ten Tilmont się przy czem uparł, to to, co chciał, musiało się spełnić, ale chociaż pochłaniałem jego wyrób szklankami, palił mnie ogień wewnętrzny.

— A masz tłuszcz? zapytałem po chwili.

— Mam, odpowiedział, bo miał go sześć lub siedm funtów, stosownie do naszej umowy.

— Rozebrałem się przeto zupełnie do naga (wybaczcie moje panie) i przy pomocy Tilmontą wysmarowałem się na całym ciele gęstą warstwą tłuszczu, co najmniej sześciu funtów wagi. Wprawdzie to nie podnosiło czystości ciała, ale jest to środek równie praktyczny, jak prosty, która panu mogę zalecić przy sposobności, bo możesz w ten sposób płynąć w wodzie lodowatej, jak gdyby była letnią i nie uczujesz wcale zimna.

Skoro się już namaściłem łożem, jak gdybym chciał polować na wieloryba, Tilmont przywiązał mi u szyi sznurek gwinei zaszytych w skórę węgorza, a w kapelusz powleczony woskiem włożyłem małą mapę kanału La Manche, którą wydarłem z dziecinnej geografii synka znajomego mi sierżanta. Prócz tego umieściłem tam kompas, hubkę i krzesiwo, wetknąłem sztylet za taśmę pod kapelusza, który przywiązałem mocno do głowy, a do pleców przypasałem małą torbę skórzaną, zawierającą kompletny ubiór, który miałem przywdziać wychodząc z wody.

Gdy właśnie ostatni rzemień przytwierdzałem,

czuję, jak mój Tilmont wkłada coś do tej torby; było to dwadzieścia gwinei, wszystko, co wtedy posiadał.

— Tilmont — rzekłem — to źle, nadużywasz swego położenia.

— Ależ dajmy temu pokój — odparł z najwyższym zniecierpliwieniem — obejdzcie się teraz bez tej gadaniny. Gdzież są twoje szczudła na pokłady mułu?

— Oto pod torbą. Płynąc na wznak, będę mógł je wziąć i nałożyć na nogi.

— A zatem masz już wszystko?

— Tak, wszystko.

— No, bądź zdrow, Tomie, szczęśliwej drogi.

— Bądź zdrow, Tilmont.

I odsłonił szeroko otwór w ścianie. Wiatr dął tak silny, że zgasił lampę. Uściskałem Tilmonta w ciemności, mówiąc mu: Podziękuj w mem imieniu Jolivetowi.

I wysunąłem się przez otwór. Odpowiedź Tilmonta odbiła się jeszcze o me uszy, lecz nie słyszałem już nic więcej, bo zacząłem się spuszczać po linie wstrząsanej wiatrem. Dzięki tłuszczowi, okrywającemu moje ciało, nie spostrzegłem nawet, że byłem w wodzie, aż mi poczęła smagać w twarz. Oddawszy się wzburzonym bałwanom, znalazłem się wkrótce obok łańcuchów steru, a bojąc się, by mimo piekielnego wycia burzy i szumu fal strażę mnie nie dostrzegły lub nie

usłyszały, może z dziesięć sążni płynąłem pod wodą. Gdy wróciłem na powierzchnię, okręt znajdował się po mej lewej stronie, poznałem go po trzech światłach, które migotały, gdyby trzy gwiazdy wśród nocnych cieni. Na szczęście burza była tak silną, że nie odważono się puścić na wodę łodzi na nocne patrole. Ze strony ludzi nie miałem się już niczego obawiać, pozostawały jeszcze woda, burza i szlam, które mnie niepokoiły.

Zresztą nie chwaląc się umiałem pływać, jak ryba. Napój, do którego mnie zmusił Tilmont, ogrzewał mnie wewnątrz, a tłuszcz ochraniał od zewnętrznego zimna. Położenie było jeszcze dość znośne, ale niepogoda mimo to bardzo dokuczliwa. Gdy oddaliłem się z jakich dwieście sążni od okrętu, nie widziałem już nic dokoła siebie. Jedy-
nym widnokręgiem, jaki mnie otaczał ze wszech stron, był widnokrąg złożony z dużych, czarnych fal, które w miarę, jak się łamały o pierś moją, stawały się białemi. Niebo zakrywały gęste chmury rudawe, pędzone wiatrem, a deszcz, który lał jak z cebra, smagał mnie w twarz i nie dozwalał mi oddychać swobodnie, co mi najwięcej dokuczało.

Płynąłem jeszcze odważnie może pół godziny, lecz później przez chwilę ogarnęła mnie słabość. Zacząłem się zastanawiać, że możebym lepiej był postąpił, czekając do następnego dnia, ale wtem przyszła mi znów na myśl matka, brat, wspomnienie to dodało mi nowych sił, czułem, jakby

mnie kto w wodzie podnosił i nie mogłem się powstrzymać od okrzyku hurra! Wtedy to przepłynąłem z pewnością najlepszych dwadzieścia sążni w mojem życiu. Byłem jakby w uniesieniu, zdaje mi się, żebym wtedy się puścił wpraw nawet i przez fale płomieni.

Prawie już trzy kwadransy płynąłem po jeziorze, gdy na północno-zachodniej stronie zaczęło się nieco wyjaśniać. Ujrzałem kawał błękitu, na którym zamigotało kilka gwiazd, otoczonych szarymi obłokami. Dzięki tej jasności zdołałem rozpoznać na widnokręgu szczyt młyna, który mi miał służyć za drogowskaz do przebycia pokładów mułu i spostrzegłem, że jestem już bliżej nich, aniżeli się spodziewałem.

I teraz sam nie wiem, jak mam państwu wyznać rzecz, która się wam wyda głupią, mnie jednak wtedy o włos że nie zgubiła. Oto zaledwie sobie przypomniałem owe pokłady mułu, gdy nagle wspomnienie Dubreuil'a, który stał tam z oczyma wyżartemi przez kruki, owładnęło mną z całą potęgą i już na chwilę nie opuściło. A wspomnienie to przybrało prawie kształty rzeczywiste, bo ta okropna twarz zrobiła na mnie niezatarte wrażenie. Przypominałem ją sobie tak dokładnie, że mi się zdawało, iż ją widzę przed sobą, że ją nawet na prawdę widziałem. Tak, widziałem ją, jak ją jeszcze teraz niekiedy widuję we śnie, tę twarz opaloną i podartą, te wargi

wydeńte i poczerniałe, z poza których przezieraly białe zęby, a przedewszystkiem te dwie skrwa-wione jamy, w których brakło oczu. Raz jeszcze powtarzam, widziałem ten obraz żywo przed sobą, a o tej właśnie porze, wśród burzliwej nocy zja-wisko to nie było rzeczą przyjemną. Napróžno się opierałem, mówiąc sobie, że to wpływ rumu, który wypilem, napróžno otwierałem oczy tak szeroko, jak tylko mogłem, to znów je zamykałem, dawałem nurka, dotykałem się ciała swego i ra-mion, zmora ta prześladowała mnie bezustannie. Było to przewidzenie, miałem gorączkę, majaczy-łem, jak państwo powiecie, ale twarz ta stała wciąż przedemną.

Wtedy to doprawdy byłem blizki szaleństwa i zanurzałem się z wściekłością w wodę, by uciec przed sobą samym lub raczej przed tem przekle-tem widziadłem, które sie mnie czepiło. W odle-głości dwóch sążni jednak potknąłem się o jakąś gęstą masę, głębina zmniejszyła się widocznie, znajdowałem się na pokładach szlamu.

I wtedy to, jak gdyby była w tem ręka sa-mego szatana, burza podwoiła swą gwałtowność, deszcz począł lać z większą jeszcze mocą, noc stała się ciemniejszą i zdawało mi się, że widzę i słyszę wyraźnie stada kruków, wśród których patrzyły na mnie ustawicznie wydłubane oczy nieszczęsnego Dubreuila. To było już nad moje siły, czułem, że słabnę, a jednak opierałem się

wszystkimi siłami, wołając chrapliwie z głębi gardła: O mój Boże! Musiano mnie słyszeć z okrętu, chociaż byłem o milę oddalony od niego. Była to najstraszliwsza chwila owej nocy, bo później począłem odzyskiwać przytomność i rozumować nieco. A był to już najwyższy czas, bo dotykałem prawie pokładów mułu. — Ależ Tomie — mówiłem do siebie — nie bądź babą. Pomyśl, że jeżeli ci się poszczęści, ujrzysz wkrótce matkę i brata, że wyprowadziłeś w pole tego jedno-rękiego hultaja. Dubreuila poszarpały drapieżne ptaki w mule, to prawda, ale on był nędznikiem, a ty jesteś poczciwym człowiekiem, albo, co więcej przemawia do rozumu, ty masz szczudła, których on nie miał. A więc, do krośset kaduków, bądź mężnym i naprzód!

Ustuchałem sam siebie i dobrze zrobiłem. Wyteżyłem wszystkie siły i wciąż naprzód płynąc i macając rękoma brzegi pokładów znalazłem miejsce, w którym szlam był dość twardy, by mnie chwilę na sobie utrzymać.

Skorzystałem z tego i przytwierdziłem do stóp szczudła, poczem pomknąłem naprzód po tem lepkiem błocie, jak gdyby na kółkach. Szczudła były sporządzone z dwóch deszczulek jodłowych, bardzo cienkich a szerokich, które swą wielką powierzchnią nie dawały mi ugrząść w błocie. Przebyłem w ten sposób pierwszy pokład mułu,

potem wróciłem do wody i popłynąłem dalej, by się dostać na dalsze pokłady.

Spróbowawszy raz swoich szczudeł przekonałem się, że to dziecinna zabawka, to też przeszedłem drugi i trzeci pokład nie myśląc o tem wcale i dostałem się na koniec jeziora około półtrzeciej godziny po ucieczce z okrętu.

Uporałem się tedy już z wielką częścią mego zadania, ale to jeszcze nie wszystko; trzeba było teraz pomyśleć o toalecie, gdyż ostatnią część drogi mej stanowiły właśnie pokłady mułu, a byłem cały obwalany błotem, jak rak morski. Po dłuższem szukaniu znalazłem obok młyna strumyk, obmyłem się w nim, a w kwadrans później byłem znów ubrany przyzwoicie. Napiłem się odrobiny rumu z flaszki podróżnej, w którą pocziwy Tilmont zaopatrzył moją torbę i poradziwszy się kompasu przy pomocy krzesiwa, skierowałem się ku wschodowi, zdecydowany, iść całą noc, by nad ranem być w przyzwoitej odległości od Southamptonu i nie obudzać podejrzeń.

Potem musiałem bądźcobądź dostać się na wybrzeże i tam dobrowolnie lub przemocą uzyskać łódź, któraby mnie przewiozła przez kanał La Manche.

Nie będę państwa nużył opowiadaniem wszystkich niebezpieczeństw, jakie przebyłem, zmuszony ukrywać się w czasie dnia i iść tylko podczas nocy, okupując milczenie złotem, lub wymuszając

je niekiedy w sposób brutalny. Osądźcie sami, jakie to były męczące wędrówki i marsze, gdy wam powiem, że od dziewięciu dni opuściłem okręt, a znajdowałem się dopiero w okolicy Winchelsea, co najwyżej 25 lub 30 mil od Portsmouth.

Zacząłem upadać na duchu; dopóki miałem przed sobą przeszkody do zwalczania, wszystko szło mi gładko, bo walka taka wzmacnia i podnosi, ale gdy już przeszkód nie było i jedynym mem zadaniem było ukrywać się jak złodziej, rozglądać się na wszystkie strony, bać się szeryfa lub policyanta, to już nie przypadało mi do smaku.

Nareszcie pewnego poranku, a było to w środę, przeszedłszy noc całą, znalazłem się w pobliżu Falkstone, małego portu rybackiego na wybrzeżu, oddalonego o dwanaście mil od Dover. Byłem nadzwyczaj strudzony i prawie bez grosza, to też ogarnęło mnie wielkie przygnębienie i smutek. Chroniąc się przed nieznośnym upałem usiadłem w cieniu dwóch rozłożystych drzew, które osłaniały ławkę umieszczoną przed bramą schludnego domku, stojącego tuż obok stromych skał nadbrzeżnych.

Siedziałem tam tedy, oparty na kijku podróźnym, i rozmyślałem, czy nie byłoby lepiej, miasto się kryć jak zbrodniarz, poprosić, przyłożywszy mu sztylet do gardła, pierwszego lepszego rybaka, którego napotkam na wybrzeżu, by mi powierzył swe czółno do przejazdu przez kanał. W tem

słyszę za ogrodzeniem domu śpiew, był to piękny głos kobiecy. Machinalnie czy też ciekawością wiedziony staję na ławce i spostrzegam w ogrodzie piękną, młodą kobietę, o przepysznych czarnych włosach, w białej sukni i dużym słomianym kapeluszu. Zajęta kwiatami nie przypuszczała nawet, że się jej przyglądam, lecz w chwili, gdy się ku mnie zwraca, przebóg, co widzę? oto na jej szyi klejnot indyjski, ogromnej wartości, który kształtem swym niezwykłym wpada w oczy i który poznaję natychmiast. Ten klejnot i to właśnie miejsce na wybrzeżu przypominają mi coś, o czem wcale nie myślałem. Jednym skokiem jestem na murze, z muru skaczę w ogród i w sam czas chwytam za ramię piękną panią w chwili, gdy zdjęta okropną trwogą chciała uciekać. Biedna kobieta drżała na całym ciele, jak liść osiki i nie bez powodu, lecz uspokoiłem ją natychmiast, mówiąc do niej najczystszy językiem angielskim:

— Pani jesteś żoną kapitana Dulowa. Czy mąż w domu?

— Tak, panie.

— Czy wspominał pani kiedy o kapitanie Tomie S., który mu dał ten klejnot? — zapytałem, wskazując na małą złotą rybkę, o łusce z drogich kamieni, którą nosiła na szyi na łańcuszku wraz z zegarkiem.

— Tak, panie, kapitanowi S. mój mąż za-

wdzięcza wolność, odparła kobieta, spoglądając na mnie dużemi, zdziwionemi oczami.

— A więc ja jestem kapitanem Tomaszem S., uciekam z niewoli, udziel mi pani u siebie schronienia.

— Pan nim jesteś? O co za szczęśliwy dzień dla mego Williama, proszę, chodź pan ze mną.

Dulow był właśnie na przechadzce, z której jednak wkrótce powrócił. przyjął mnie należycie, jak się po nim spodziewałem, i ukrył mnie w swoim domu, którego położenie było ku temu bardzo dogodne. W dzień nie wychodziłem wcale, dopiero o zmroku chodziliśmy na przechadzkę po najeżonym skałami wybrzeżu, w towarzystwie jego żony i siostry, osoby również bardzo zacnej.

Gdy się niegdyś z Dulowem rozstawałem, tak mi się ten poczciwy chłopak podobał, że prosiłem go, by przyjął dla swej żony, o której zawsze wspominał, ów klejnot, który przywiozłem z Indyi. Mówiłem mu wtedy: -- Daj to świecidełko, niech ma od męża pamiątkę. I widzicie państwo, że to było dla mnie szczęściem, bo dzięki tej złotej rybce poznałem panią Dulow. Co niegdyś czyniłem dla Dulowa, nie warto nawet wspominać, to drobnostka, dla mnie to w owym czasie nie nie znaczyło, a dla niego bardzo wiele, teraz jednak przypomniał sobie moją przysługę, rzecz naturalna, ja na jego miejscu tak samo bym sobie postąpił.

Napróżno jednak prosiłem Dulowa o dostarczenie mi środków do przebycia kanału, zawsze wymawiał się różnemi przeszkodami, bądź, że trudno jest znaleźć czółno, bądź że niepodobna ująć straży nadbrzeżnej, to znów, że wiatry są przeciwne i zmienne, co nie było prawdą. W końcu, muszę wyznać, zacząłem już powątpiewać o jego dobrej woli. Położenie moje było przykre, bo od Francyi dzieliło mnie ledwie mil trzydzieści.

Tak upłynęło dni dziesięć. Pewnego wieczora rzekł Dulow, jak zwykle do swej żony i siostry: — Ubierzcie panie kapelusze i chodźmy na przechadzkę po wybrzeżu. Poszedłem z nimi. Spacerowaliśmy dość długo w milczeniu, byłem smutny, czas upływał, a tu dręczył mnie niepokój o matkę i martwiło mnie to, że wojna się dalej toczy bezemnie, wreszcie i to, że musiałem powątpiewać o dobrej woli Dulowa, który wszakże nie miał powodu być mi nieżyczliwym. Słońce już zaszło i noc poczęła rozpościerać swe czarne skrzydła nad światem, gdyśmy się zbliżyli do małej zatoki.

— Kapitanie — zapytał nagle Dulow — co sądzisz o tym wietrze? A wiał właśnie piękny wiatr od północy. — Do kaduka — odparłem — nie potrzeba więcej dla biednego więźnia, który by miał czółno, by się znaleźć nazajutrz w domu swojej matki.

— A więc dobrze — rzekł Dulow — pożegnaj te panie i dalej w drogę do domu.

Zrazu go nie zrozumiałem, tak niespodzianie padły te słowa. Wtedy wzruszając ramionami ujął mnie za rękę i powiódł poza wzgórze, gdzie ujrzałem duże czółno, gotowe do odjazdu i zapatrzone w przedni maszt i żagle.

— Wybacz mi, kapitanie — przemówił następnie — jeżeli ci dałem tak długo czekać, ale musiałem wyczekać, aż wypadnie kolej na strażnika, który ma tej nocy pełnić służbę w naszej stronie wybrzeża. Jest on mi ślepo oddany i wie, co ci mam zawdzięczać, tej nocy będziesz mógł stąd bez najmniejszej obawy wyjeżdżać.

Po tych słowach poznałem znów mojego Dulowa z dawnych czasów i nie dziwiłem się już niczemu. Uściskałem serdecznie jego i obie panie i wskoczyłem szybko do czółna. Znalazłem w niem zapasy żywności, kompas, broń, proch, dalekowiedz nocny i hubkę. Zwróciłem głowę na znak pożegnania raz jeszcze ku Dulowowi i jego paniom i odbiłem od brzegu.

Nareszcie byłem wolny... Popłynąłem na głębokie morze, które wyglądało cudownie, bo pogoda była prześliczna. Dalekowiedz bardzo mi się przydał, bo po godzinie drogi rozpoznałem przezeń korwetę, być może angielską, ku której wprost zdążyłem, skrzyłem więc moje czółno w bok, by ją ominąć. Ten drobny wypadek zatrzymał mnie nieco, ale na drugi dzień rano, gdy jutrzienka zabłysła na niebie, ogarnęło mnie nieopisane

uczucie szczęścia, bo ujrzałem przed sobą zdala zarysowującą się w porannej mgle drogą ziemię francuską i rozpoznałem nadbrzeżną groblę w porcie Calais. Słońce świeciło cudnie, woda była czysta, jak zwierciadło, a wiatr świeży powiewał wciąż od północy. Za dwie godziny miałem uściskać matkę i brata!

Ale co najlepsze, rotmani, marynarze i różni próżniacy wałęsający się tłumnie po porcie, zeszli się właśnie, jak zwykle, na brzegu i rozglądając się na wszystkie strony lunetami, poznają mnie w mej łodzi. — Oto więzień uciekający z niewoli, woła jeden. — Kto wie, to może kapitan S. — mówi drugi. Na to trzeci: — To bardzo być może. A tymczasem jakiś chłopak okrętowy, który nie dosłyszał dobrze tych uwag, w mniemaniu, że tamten powiedział nie — to może kapitan S. — ale — to jest kapitan S. zrywa się, pędzi jak strzała, wpada do domu mej matki i brata i woła na całe gardło: — Oto kapitan powraca właśnie z Anglii, sam jeden w czólnie. Na szczęście było to prawdą, bo inaczej łatwo pojąć, jakim okropnym ciosem byłaby taka pomyłka dla mej biednej matki. Uradowana staruszka spieszy z bratem mym do portu, skąd mnie już można było dokładnie poznać, bo znajdowałem się już zaledwie w odległości strzału armatniego.

Nie podobna mi nawet opisać, jakiegom doznał przyjęcia. Wszystkie łodzie rybackie i statki

rotmanów w Calais wyjechały na me spotkanie i odprowadzały mnie w tryumfie, byli tam mężczyźni; kobiety, dzieci, a okrzyki radości, wołania „niech żyje dzielny kapitan S.“ rozlegały się dokoła. Płakałem z rozczulenia, jak bóbr a nadmiar tego wszystkiego, widziałem na grobli brata, podtrzymującego biedną starą matkę, która ledwie miała siłę powiewać chustką, tak była wzruszoną.

Chcę spiesznie wysiadać z czółna, wołając ustawicznie matkę, wtem u wejścia na groblę zatrzymuje mnie jakiś jegomość, ubrany po cywilnemu w czarnej odzieży, przepasany szarfą, w towarzystwie dwóch żandarmów i pyta mnie o paszport! To komisarz, który był na tyle głupi domagać się odemnie paszportu. Bydlę! Jak gdybym przybywał do jego miasta gościńcem na wózku. Domagać się paszportu od kapitana Toma, który trzeci raz uciekł z angielskiego okrętu wojennego i to właśnie w tej chwili, gdy widziałem matkę na grobli o kilka stóp nademną. To też gdy komisarz stanął przedemną na schodach, nie chcąc mnie puścić na ląd, wrzuciłem go wraz z obydwoma żandarmami w wodę, aby się nieco ochłodziłi, a potem jednym skokiem byłem na grobli i ścisnąłem matkę i brata. Poczciwi marynarze oburzeni nie chcieli puścić z wody komisarza i żandarmów, którzy brodzili w błocie od jednego czółna do drugiego, wrzeszcząc z rozpaczą jak

trzy pudle, — dodał kapitan, śmiejąc się do rozpuku na to wspomnienie.

— Oto, moi państwo — zakończył Tom swe opowiadanie — w ten sposób powróciłem wtedy z Anglii. Ale od owego czasu nie ma tygodnia, bym nie myślał o tym nieszczęsnym Dubreuilu i bardzo często widuję we śnie gdyby pcnure widmo jego przeklętą twarz z próżnemi jamami bez oczu, które mnie owej pamiętnej nocy o włos że nie zgubiły.

.

Trudno mi opisać wrażenie, jakie wywarło na mnie to opowiadanie, odmalować dziką energię ruchów kapitana, brzmienie jego głosu krótkiego i dźwięcznego, który się modulował i wybornie naginał do wymagań tego ożywionego opowiadania. Nic w niem nie opuściłem, ani nie zmieniłem, ale co za różnica! jakie to mi się teraz wydaje mdłe, blade, bezbarwne, gdy wspomnę, że go słyszałem, że nań patrzałem. A co jeszcze potęgowało wrażenie, to owo dziwne połączenie w nim dwóch ludzi, z których jeden wielki, pełen energii i zapędu, tryskający życiem, nieustraszony, twardy jak stal, który dwadzieścia razy narażał się na śmierć i morskie przygody, a drugi znów skromny, cichy i łagodny, tak jakby był widzem owej wspaniałej i pełnej grozy epoki w swem życiu i przypominał ją sobie teraz jako dramat wielki

i ponury, na który niegdys patrzył i który umiał na pamięć. Nadto uderzyło mnie jeszcze w jego opowiadaniu owo nadzwyczajne poświęcenie jednych marynarzy dla drugich, owe usługi, które sobie wzajemnie świadczą z taką niedbałą wspaniałomyślnością, nie zważając, że chodzi tu na każdym kroku o życie i wolność. I nie mówią sobie nawet „dziękuję ci, bracie,” bo niema u nich zwyczaju wdzięczność wyrażać słowami. Ale jeżeliby kiedy wśród gradu kartaczów ołów zabójczy miał jednego z nich dosięgnąć, jeżeli fale spienione mają się nad nim zamknąć, uczuje również rękę przyjazną lub wdzięczną, która go wydrze z szpon śmierci grożącej. A gdy powróci do życia, być może ta wdzięczna ręka, co go ocaliła, już będzie skostniała, ale tak jak ona mu wyraziła dzięki za doznane usługi, tak ów ocalony podobnym uczynkiem odwdzięczy się drugiemu w potrzebie.

D A J A.

Szaleństwem jest, jeżeli kto
umiłował stworzenie ina-
czej, aniżeli istotę na
śmierć przeznaczoną.

Zwierzenia św. Augustyna księga IV. rozdział 7.

I.

Po dwuletnej wojence w Indyach powróciłem do Francyi i zamieszkałem znów w Paryżu. Od sześciu miesięcy utrzymywałem stosunek miłosny z żoną jednego z mych najlepszych przyjaciół z lat dzieciństwa. Była to kobieta niezwyklej piękności, o wyglądzie rasowym, pełna dystynkcyi, wysmukła, delikatna, nerwowa. Na bladej twarzy o dużych ciemnych oczach, przysłoniętych rzęsami, malował się wyraz wyniosły i dumny. Nóżkę miała cudowną, ręce i kibić królewskie, a duszy i rozumu ani za mało, ani za wiele, lecz w sam raz tyle, ile potrzeba było, by opromienić odrobiną poezyi nasz stosunek, a zarazem uchronić się od głębszej namiętności wraz z jej wymaganiami i ciężarem.

Pewnego wieczora, po obiedzie, przy którym prócz nas trojga nie było nikogo więcej, przyjaciel mój kazał zaprzęgać i odezwał się w te słowa:

— Opuszczam cię, Jenny, bo mam pilną sprawę, a dzisiaj, jeżeli się nie mylę, twój dzień opery.

— Tak — odparła Jenny — ale odstąpiłam swą lożę Bressacom.

— Cóż więc poczniesz?

— Sama jeszcze nie wiem. Ponieważ to właśnie środa pani d'Arville, zagładnę może na chwilę do niej. —

Powstałem z miejsca i wraz z mym przyjacielem zabierałem się do wyjścia, gdy żona jego mnie temi powstrzymała słowy:

— Nie wyprawiam pana wcale, owszem możesz pan jeszcze zostać, kazałam dopiero na dziewiątą lub dziesiątą godzinę przygotować toaletę.

Skłoniłem się w milczeniu.

— Bez wątpienia, jeżeli nie masz nic pilnego, zostań koło mej żony i baw ją przez ten czas, bo ja mam przekłete rendez-vous z notaryuszem, którego nie mogę na później odłożyć.

— Do widzenia, Jenny, rzekł do swej żony, całując ją w rękę, a zwracając się do mnie dodał:

— Nie zapominaj, że przychodzę po ciebie jutro o drugiej i pójdziemy razem oglądnać ów hotel przy ulicy Londyńskiej.

Po tych słowach wyszedł,

Gdy już turkot kół upewnił mnie o stanowczym jego odejździe, powstałem z krzesła i usiadłem na kozetce obok Jenny.

— Patrz Arturze, jak ja się dla ciebie poświęcam, wyrzekła z westchnieniem.

Uwaga ta tak była dziwną po naszym blizkim stosunku, trwającym już od kilku miesięcy, tak padła nagle i bez związku z naszymi poprzednimi rozmowami, że nie rozumiejąc, do czego dąży, zapytałem:

— Jakto, Jenny, jakie poświęcenie?

Nie mi na to nie odpowiedziała, lecz odwróciwszy się odemnie z minką zagniewaną, poczęła się bawić kadzielnicą, stojącą na małym stoliku.

— A — rzekłem, całując jej piękne ramiona — rozumiem cię teraz. Posłuchaj mnie, moja kochana, ślubowaliśmy sobie wzajemną otwartość, chcę ci więc powiedzieć, co cię teraz dręczy. Mówisz o poświęceniu, bo czytałaś prawdopodobnie przed chwilą jakiś romans, kreślący dzieje nieszczęśliwej miłości, albo też fantastyczny lot twych myśli zwrócił się tego wieczora ku tematowi winy i wyrzutów sumienia. Na honor nie byłbym ci odmówił tej rozrywki, gdybyś mnie była przygotowała i w sposób naturalny sprowadziła rozmowę na ten przedmiot. Ale słowa twe padły tak znienacka w chwili, gdy ten kochany Oktawiusz wydalili się do swego notaryusza, że nie mogłem się oprzeć zdziwieniu. To moje zdziwienie

nie pozwoliło ci korzystać z nastroju, w jakim się dziś wieczór znajdujesz i z tego powodu gniewasz się na mnie. Czy może nie mam słuszności?

Jenny lekko się uśmiechnęła.

— A więc zgadłem, a ponieważ jesteśmy w toku otwartości, muszę ci wyznać, że to niewdzięczny zresztą temat, poświęcenie. Czyż w stosunku takim, jak nasz, może być mowa o jakimś poświęceniu z twojej strony? Czyż nie widzisz, że cię otaczam hołdami, czcią i miłością, że czynię wszystko, co tylko z twoich oczu wyczytać mogę? A ty to nazywasz poświęceniem! To tylko wynik przyzwyczajenia, że my mężczyźni zawsze mamy wam dziękować za szczęście, które sami wam przynosimy w ofierze....

— A to dobre! A nasza reputacya? a nasze zasady?

— Oto niepotrzebnie używasz synonimów, słowo reputacya samo określa wszystko. A więc dobrze. Gdy się nigdy do siebie nie pisuje, gdy kochanek jest człowiekiem, który ma charakter i umie żyć, reputacya zostaje bez skazy.

— Przyznaję, że tak, ale nasze zasady?

— Tak, ale ja właśnie nie przyznaję waszych zasad.

— Arturze, bredzisz, albo jesteś zarozumiałym do śmieszności.

— Ależ przeciwnie, ponieważ nie jestem wcale zarozumiały i mam o sobie bardzo skromne, wy-

obrażenie, nie wierzę w te wasze zasady. Bo i jakżeż możesz chcieć na seryo, abym mógł uznawać jakąś władzę tych waszych zasad, skoro widzę, że tak drobna zasługa, jak moja wystarcza, by je zwyciężyć. I nie można tu nawet mówić wcale o zasłudze. Gdybym przynajmniej ci był dowiódł mej miłości poświęceniem bez granic, wiernością, pełną zaparcia się, nie mówię;... ale przed sześciu miesiącami wcale cię nie znałem, później zająłem się tobą, tak jak mężczyźni zajmują się kobietami w ogóle, ty mnie przyjęłaś, jak się przyjmuje pierwszego lepszego mężczyznę i... znalazłem szczęście u ciebie, bo złożyły się na to okoliczności zewnętrzne, nasze stosunki towarzyskie. Ty nie jesteś mi więcej dłużną, jak ja tobie, każde z nas szukało czegoś odpowiedniego dla siebie. Znaleźliśmy je, a więc korzystajmy, lecz nie mówmy o poświęceniu.

— Doprawdy, słuchając ciebie, czyż nie należałoby myśleć, że wyraz ten powinien być wykreślony z naszego języka? A wyrzuty sumienia, czyż to nie poświęcenie, na nie się narażać?

— Ależ kwestyę tych wyrzutów omówiliśmy już, mówiąc o reputacyi. Wyrzuty sumienia — to bojaźń wykrycia prawdy. A więc przy ostrożności i dochowaniu tajemnicy nie ma się wyrzutów.

— Masz dzisiaj swój dzień paradoksów. Nie-

chajże będzie. Jest to rodzaj kokieteryi z twej strony, bo wiesz, że nic mnie tak nie bawi i nie zachwyca, jak paradoksy. A zatem jeżeli mam cię dobrze rozumieć, moja miłość ku tobie jest tylko...

— Paradoxem.

— Sam to powiedziałeś. Lecz wracając do naszego tematu, zaprzeczasz więc, by kobieta mogła się poświęcać dla swego kochanka?

— O bynajmniej, tego nie mówię. Zaprzeczam jedynie, by między nami do chwili obecnej mogła być mowa o jakimkolwiek poświęceniu, a jeżeli kto z nas się poświęca, twierdziłbym raczej, że to ja...

— A to zabawne! W jakież to sposób?

— Posłuchaj mnie, Jenny! Jesteś zamężną, jam nie żonaty, ty nie potrzebujesz myśleć o przyszłości, a ja jestem w podobnem położeniu, jak młoda panna na wydaniu, która ma kochanka...

— Ależ to niedorzeczność!

— Faktem jednak jest, że gdybym umarł jutro, trumnę mą okrywałby biały całun i zdobiłyby ją wieńce z białych róż i inne oznaki niewinności, jak gdybym był szesnastoletnim aniołem, wstępującym prosto do nieba. Tak to już jest na świecie.

— A zatem okoliczności, wśród których kobieta może się poświęcić dla swego kochanka, są nader rzadkie, nieprawdaż? zapytała Jenny.

— Tak jest, na szczęście są one bardzo rzadkie, prawie niepodobna ich spotkać, zwłaszcza we Francyi, dzięki naszym obyczajom i naszemu zepsuciu, które nawet w występku domaga się spokoju, wygody, a zwłaszcza swobody.

— A w innych stronach?

— O gdzie indziej, to co innego. W kraju na pół dzikim coś podobnego jest możliwem, nawet się wydarzyło, mógłbym coś takiego przytoczyć.

— O mój Boże! może coś, co się tobie samemu wydarzyło?

— Tak, być może.

— O opowiedz mi to, proszę cię..

— Gdybym był zarozumiałym, mógłbym powiedzieć, że boję się, byś nie była zazdrosną, wolę jednak twierdzić, że to cię może znudzić.

— Ależ nie; wiesz dobrze, że nic mnie tak bardzo nie zajmuje, jak tve opowiadania z podróży. Lecz ty tak rzadko o nich wspominasz. Arturze, proszę cię, opowiedz mi to, ja tego pragnę.

— A więc dobrze, posłuchaj! —

II.

Będzie temu mniejwięcej półtora roku; byłem wówczas w Indyach. Admirał wysłał mnie z bardzo ważną misją do (wybacz mi tę okropną do wymówienia nazwę) Vizagapatnamu. Wyjechałem więc z Madrasu, spełniłem poruczone polecenie i powracałem już właśnie. Znajdowaliśmy się

już na piętnaście mil od tego miasta, gdy wypadek, który się wydarzył jednemu z ludzi, niosących mój palankin, zmusił mnie zatrzymać się w wiosce Tschina-Marmelong. Znów podobnie dziwaczne nazwisko, ale w Indyach wszystkie są takie. Miałem ze sobą jednego z oficerów, imieniem Duclos. Był to bardzo zacny człowiek, który miał tylko jedną wadę; oto lubiał zawsze rano wiedzieć, jak ma spędzić dzień cały i popadał w rozpacz, jeżeli nieprzewidziane zdarzenie burzyło znienacka plan poprzód ułożony. W braku takich niespodziewanych wypadków ja sam brałem na siebie zadanie niweczenia jego planów, bo nic mnie tak bardzo nie bawiło, jak jego gniew i narzekania, a pojmujesz dobrze, że człowiek w drodze szuka rozrywek.

Gdy Duclos ukończył już swe skargi z powodu przeszkody, która nas zatrzymała w ogrzewalni wiejskiej, rzekł do mnie:

— Nareszcie możemy tu zostać w spokoju do jutra. Cóż więc czynić będziemy? Lubię bowiem z góry wiedzieć, na co być przygotowanym.

Było to jego ulubione wyrażenie.

— Ależ, odparłem mu, to, co możemy uczynić najlepszego, jest zjeść wieczerzę, ułożyć się wygodnie i szukać snu, jeżeli nam komary pozwolą.

— Wybornie — odpowiedział poczciwiec — lubię bowiem z góry wiedzieć, na co być przygotowanym. Pójdę tedy przed wieczerzą nieco na

przechadzkę po tem polu ryżowem, to mi podnieci apetyt i przyczyni się do dobrego snu. — Z temi słowy wyszedł, a ja przyrzekłem sobie w duchu, że o ile to będzie w mej mocy, postaram się, by jak najmniej wieszerał i jak najmniej miał spoczynku tej nocy.

Ogrzewalnia zwolna zaczęła się napełniać podróżnymi. Jest to rodzaj domu zajezdnego dla karawan, oberży założonej przez ludzi dobroczynnych, w której można znaleźć bezpłatnie przytułek i dostać wody do picia, a w niektórych miejscowościach otrzymują biedni także i żywność.

Wkrótce nasze towarzystwo zwiększyło się przybyciem trupy wędrownych tanecznie wraz z muzykantami. Skoro owe bajadery stosownie do swych ceremonii religijnych, przepisujących codziennie dwukrotną kąpiel, skąpały się w stawie, bidda czyli kierowniczka trupy zbliżyła się, by mnie powitać i ofiarując mi przepyszny bukiet, prosiła w imieniu całego towarzystwa o pozwolenie popisania się przedemną swymi tańcami.

Prośba ta przyszła mi bardzo w porę. Zdecydowałem w duchu, że miasto wieszery, snu i spoczynku, nieszczęsny, a raczej szczęśliwy Duclos weźmie udział w zabawie i spędzi na niej noc całą.

Odpowiedziałem przeto kobiecie, iż z przyjemnością przyglądać się będę tańcom jej trupy, lecz, że musimy czekać powrotu mego towarzysza.

Zaledwie jej oznajmiłem moje postanowienie, gdy wszyscy obecni objawili swoją radość okrzykami Nela dore! maaradjha! co ma oznaczać: wielki książe, zacny pan.

Poustawiano natychmiast drobne lampki gliniane w zagłębieniach ścian oberży, na ten cel przeznaczonych. Poleciałem mym tragarzom, by porozrywali liczne gałązki tamaryndy i ryzofor, któremi uścielono dużą salę. Kazałem przynieść i ułożyć w kącie materac mego palankinu, wierny mój Fryc przyrzadził mi wyborny ponczyk, zapaliłem fajeczkę i oczekiwałem spokojnie Duclosa.

Byłabyś niezawodnie, Jenny, razem ze mną się śmiała, widząc pocieszny i zdziwiony wyraz twarzy, z jakim ten biedak powitał to całe towarzystwo, ten zgiełk, tę zieleń oświeconą blaskiem lamp, słowem te wszystkie przygotowania do zabawy, które zdawały się zapowiadać tak fatalny koniec dla jego wieczery i spoczynku. Przecisnął się przez tłum i zbliżając się do mnie, zapytał:

— A więc nie będziemy teraz wieczerzać? To nie do zniesienia; z panem nigdy nie można być na nic przygotowanym. Raz jeszcze pytam, czy nie zasiądziemy do wieczery?

— Bynajmniej, mój drogi panie Duclos, bo mamy obecnie bal przed sobą. Niech ci posłuży za dowód, że kazałem służącemu uprzedzić o tem bajadery.

— Bal, bal, powtórzył, a więc czemuż ka-

załeś mi pan liczyć na wieczerzę i spoczynek? Urządziłem się już według tego planu, a tymczasem rzecz się ma całkiem inaczej.

— To niespodzianka, mój kochany Duclosie.

— Ależ mój Boże, wiesz pan przecież dobrze, że ja właśnie niespodzianek najgorzej znieść nie mogę.

— Więc pani Duclos nigdy ci nie składała życzeń w dzień twych imienin, nie ofiarowywała ci nigdy wieńców i nie kazała palić ogni sztucznych?

— Tak — odpowiedział — lecz wieńce wi-
liśmy razem dwa tygodnie naprzód a ognie sztuczne ja sam zapalałem.

— A więc wypijmy tę szklankę ponczu na zdrowie pani Duclos, która ci nigdy nie sprawiała niespodzianek.

— Jestem panu wielce zobowiązany. Gdy spodziewam się z góry pić poncz, wtedy go piję, gdy oczekuję wieczerzy, — ją jem, jeżeli zaś jej niema, to w każdym razie ponczu pić nie będę, odparł zagniewany.

Faktem jest, że był w rozpacz, bo ten pocziwiec posuwał do tego stopnia chęć, wszystko naprzód wiedzieć i układać, że podczas bitwy pod Tarifa w roku 18.. nie tyle go dotknęło niebezpieczeństwo blizkiej śmierci, której patrzył z zimną krwią w oczy, ile nieład i zamącenie porządku, na ów dzień ułożonego, który ten nieoczekiwany wypadek niemiłosiernie zniweczył.

Tańce się rozpoczęły. Było ich siedm bajader. Muzyka zabrzmiała, a po izbach ogrzewalni rozlegały się przenikliwie dźwięki cymbałów, karekasów, matatanów i innych krajowych instrumentów.

Dziewczęta te, o Jenny były w istocie cudowne. Strój ich tak czarujący, włosy gładkie i hebanowe, na szczycie głowy drobne płatki złota nawleczone na purpurowym jedwabiu, długie kolczyki, złote i srebrne pierścienie na nogach i ramionach, jedwabne suknie, przytrzymywane na biodrach srebrną przepaską, wszystko to razem tworzyło obraz tak pełen uroku, wykwintny a wschodni, ruchy ich leniwe a namiętne sprawiały tak niezwykle wrażenie, że oddałbym bez namysłu wtedy i dziś jeszcze dwadzieścia waszych najświetniejszych baletów opery za ten naiwny i prosty taniec w biednej oberży Karnatu.

Gdy bal trwał już więcej niż godzinę, kazałem im przestać ku wielkiemu zmartwieniu Duclosa, którego oczy się ożywiły i który się wreszcie pogodził z tańcem, ponczem i fajeczką, jak gdyby był na to od ośmiu dni przygotowanym, a co więcej, zdawał się zupełnie zapominać o ślubnych wieńcach i ogniach sztucznych pani Duclos i oddawać nieuczciwym myślom.

Znając nieco język indyjski podziękowałem poczciwym dziewczętom, zapewniając je, że sama

bogini tańców Rambhe nie przewyższa ich w sztuce, poczem prosiłem je, by mi co zaśpiewały.

Pochwały me bardzo im się podobały i zadiwiły je poniekąd ze strony Europejczyka. Zapytały mnie więc, jakiej pieśni sobie życzę. Oznaczyłem im pieśń Kamie, którą już kilkakrotnie słyszałem w Surate i która mi się bardzo podobała. I poczęły śpiewać przygody księżniczki Beddhi, epopeję maracką, pełną świeżości i naturalnego wdzięku.

Już północ wybiła, gdy ich śpiew ustał. Chciały inny poemat rozpocząć, lecz im podziękowałem, a gdy wedle zwyczaju ofiarowałem pierwszej tancerce podarunek na tacy, okrytej liśćmi betelu i wodnego orzechu, wszysej widzowie się rozeszli, jedni do swoich chat, inni do ogrzewalni. Duclos postanowił się ułożyć do snu obok muru, wieczerzy nie jadł wcale, ja zaś kazałem zanieść swój palankin pod olbrzymie drzewo kokosowe i wyciągnąłem się tam wygodnie na pościeli, wdychając z rozkoszą silny i przenikliwy zapach tej vegetacyi, tak bujnej i wonnej.

Zaledwie usnąłem, gdy mnie obudził szmer jakiś obok mego palankinu.

— Kto tam? zapytałem z zdziwieniem.

Głos kobiecy mi odpowiedział:

— To ja, panie, bidda tanecznic, przybywam by ci oddać pozdrowienie młodej dziewczyny w żółtym staniku, z wieńcem we włosach, Dai.

Serce jej otwarło się przed twem spojrzeniem, jak listki kwiatu otwierają się przed promieniami słońca. Przyjmij oto te liście betelu, które sama dla ciebie przyrządziła. Usiadła u stóp twojego palankinu i czeka twych rozkazów.

Niech mnie dyabli porwą, Jenny, jeżeli sobie przypominałem tancerkę w żółtym staniku z wieńcem we włosach, zresztą byłem senny, miałem nazajutrz wracać do Madras o wczesnej godzinie, jednym słowem to oświadczenie byłoby mi może na rękę dzień poprzód lub dzień później, a właśnie podówczas przyszło mi nie w porę. Podziękowałem tedy biddzie za jej ucziwe pośrednictwo i poradziłem jej, by ofiarowała ów betel miłośny memu przyjacielowi Duclos, chcąc mu tem sprawić świ-żą niespodziankę.

— Tembrane Meharza! Bóg jeden jest wielkim, odrzekła bidda, ja zaś nie mogłem dorozumieć się związku tych słów z niespodzianką Duclosowi zgotowaną.

I odeszła. Nazajutrz słudzy nas pobudzili. Duclos był gotów i układaliśmy się do podróży, gdy właśnie przybyły nasze tanecznice, by się ze mną pożegnać. Przez ciekawość szukałem wzrokiem młodej dziewczyny w żółtym staniku, lecz jej tam nie było. Na me żądanie bidda ją zawołała. Przybyła na chwilę do drzwi oberży, spojrzała na mnie z dumą, gniewem i pogardą, podniosła rękę do piersi, by mnie pożegnać i znikła.

Odjechaliśmy. Na sto kroków od oberży uchyliłem zasłonę palankinu i spoglądając w kierunku ku wsi spostrzegłem ze zdziwieniem Daję, ocierającą łzy, podczas gdy dwie towarzyszki zdawały się ją pocieszać.

— Lecz czy była ładną ta dziewczyna? spytała Jenny niecierpliwie.

— Cudowna i urocza, jak obraz, odpowiedziałem.

III.

Przez całą drogę, sam nie wiem dlaczego, ścigało mnie nieustanne wspomnienie o Dai, ciągnąłem dalej opowiadanie, uśmiechając się na widok lekkiej chmury na czole Jenny.

Nadaremnie sobie powtarzałem, że to przecież istota upadła, jedna z tych bajader, co się oddają pierwszemu lepszemu; napróżno tak rozumowałem, napróżno spijałem poncz, kazałem biedz tragarzom, żułem liście betelu, gotowałem Duclosowi jedną niespodziankę po drugiej lub paliłem opium. Wszystko to nie mogło przygłuszyć we mnie jednej myśli, która mną owładnęła.

— A to była zwykła bajadera? zapytała Jenny.

— Najzwyklejsza w świecie. Wreszcie nie mogąc już dłużej wytrzymać, wieczorem po przybyciu do Tunipatnam, gdy nasza służba znużona już szła na spoczynek, udałem się do Duclosa.

Pocziwiec przygotowywał sobie właśnie łożę w hamaku, który rozwiesił starannie w najcie-

mniejszym kącie nowej ogrzewalni, dokąd właśnie zajechaliśmy. Biedak nie podejrzywał nawet celu mych odwiedzin, bo ukazując mi z zadowoleniem swoje posłanie, które prawdę mówiąc zapraszało do snu, tak było świeże i wygodne, odezwał się do mnie temi słowy:

— Przyznaj pan, że spędzę noc znakomicie w tym wygodnym kąciku!

Doprawdy, Jenny, trzeba mi było niezwyklej odwagi, by poświęcić Duclosa dla Dai i jednym tchnieniem zburzyć to jego szczęście. Zdobyłem się na ten heroizm.

— Bardzo mi przykro, mój kochany Duclosie, rzekłem do niego, ale my wybieramy się w tej chwili w drogę, wracamy napowrót tam, skądśmy przybyli.

— Dowcipny komendancie! zawołał Duclos, wskakując jednym susem w swój hamak i począł z największym spokojem czynić przygotowania na noc, układać materace i poduszki, tak dalece się nie spodziewał tego strasznego ciosu, który mu zagrażał.

— Nie żartuję wcale, panie Duclos, rzekłem na seryo, tonem stanowczym, jedziemy natychmiast. Oto moi tragarze, którzy przychodzą po mój palankin; uprzedziłem już i twoich.

Duclosowi zdawało się, że go trapi jakaś straszliwa zmora.

— Wracać tą samą drogą. o tej porze! znów

się wybierać w podróż! mówił sam do siebie urywany głosem, dotykając swego ciała, by się przekonać, czy to nie jakie nielitościwe złudzenie.

— Tak, musimy jechać, i to natychmiast. Odwagi, Duclosie, odwagi.

— Otóż ja nie pojedę, właśnie, że nie pojedę! zawołał nagle mój towarzysz z uporem desperata i spojrzał na mnie błędnym wzrokiem.

— Panie Duclos! odpowiedziałem mu, — przez chwilę mogłem zapomnieć, że jestem twoim przełożonym, teraz ci rozkazuję.

— Ależ po co właściwie mamy wracać?

— Wiedz pan, że tylko admirałowi winien jestem zdawać sprawę z mych czynności, a pan masz mnie ślepo słuchać.

Duclos nie mi nie odpowiedział, ubrał się, odczepił hamak i wyruszyliśmy w drogę. Twarz jego była z gniewu sina.

Ułożyłem sobie plan spotkać w drodze bajadery, słyszałem bowiem od biddy, że się także wybierają do Madras. A gdy do tego miasta innej drogi nie było, miałem pewność, że się nie rozminimy, podróżowaliśmy tedy noc całą bez przerwy.

— A cóż się stało z tym nieszczęśliwym Duclosem? zapytała mnie Jenny.

— Przybywszy zrana do wsi, gdzie spodziewałem się zastać trupę tanecznic, kazałem memu orszakowi zatrzymać się, nim wstąpiliśmy do

oberży. Potem zawezwałem Duclosa i aby się go pozbyć, powiedziałem mu:

— Chcę zapomnieć twe wczorajsze niestosowne znalezienie się i dać ci nowy dowód zaufania. Oto polecam ci udać się na tę górę w kierunku północnozachodnim, weź z sobą kątomierz, pion i wszystkie twe przyrządy i zdejmij dokładny plan całej okolicy w kierunku północno- i południowozachodnim.

— Ale dlaczegoż nie uczyniliśmy tego wczoraj i na co ten pomiar? To będzie pierwsze zdjęcie poczynszy od Vizagapatnamu, zapytał Duclos zdziwiony do najwyższego stopnia.

Przerwałem mu znów dalsze pytania moją zwykłą odpowiedzią, że tylko admirałowi jestem za swe czynności odpowiedzialnym, a poczciwy Duclos spakował swe przyrządy i podążył ku północnemu zachodowi, gubiąc się w najróżnorodniejszych przypuszczeniach, jaka to konieczność skłoniła mnie do tak rychłego powrotu tą samą drogą, by zdjąć plan Jaffanapatnamu.

Natenczas ja kazałem ponieść palankin mój ku oberży, dokąd wiodła długa aleja drzew kokosowych, osłaniających swym cieniem piękny i obszerny staw, w którym się właśnie kąpało dużo osób, a między innemi na samym końcu niezliczne grono kobiet.

Nagle usłyszałem z tego grona krzyk przeraźliwy, spoglądam z uwagą i poznaję moją

tancerkę w żółtym staniku, Daję, która przed chwilą musiała się kąpać wraz z swemi towarzyszkami i ledwie co wyszła z wody, bo miała jeszcze na sobie płaszcz kąpielowy. Biedna dziewczyna poznała mnie natychmiast, dałem jej znak ręką, by się zbliżyła, owinęła się więc w okrycie z białej bawełny i przybiegła spłoniona rumieńcem wstydu.

— Daja, przybywam tu po ciebie, rzekłem do niej, by cię wziąć z sobą. Czy chcesz iść ze mną?

Podniosła na mnie swe duże, czarne oczy, jakby mnie nie śmiała zrozumieć.

— Czy chcesz, Daja?

— Z panem?

— Tak, Daja, ze mną iść do Madrasu.

Wtedy biedna dziewczyna, drżąc na całym ciele i nie mogąc słowa przemówić, patrzyła wciąż na mnie, jakby w zachwyceniu i złożywszy ręce na piersiach, skinęła głową na znak, że się zgadza.

— I pan wzięłeś ze sobą tę osobę? zapytała Jenny.

— Tak, moja droga, wziąłem ją w lektyce, o którą się wystarałem i wróciliśmy do Madrasu wraz z nieocenionym Duclosem, który przybył ze swym pomiarem i był przekonany, że to jakaś głęboka kombinacya polityczna łączy się z tajemniczą lektyką, której zawartości ani się domyślał, i z planem, zdjętym wśród największego żaru sło-

necznego. Zresztą poczciwiec nie myślał już więcej o naszym niespodziewanym odwrocie. Raz tylko wieczorem, wskazując mi szklanę araku, którą właśnie do ust podnosił, rzekł:

— Widzisz pan, gdyby mi ktoś teraz powiedział: prawda, panie Duclos, pan sądzisz, że wypijesz tę szklanę araku i położysz się potem spać? Ale gdzie tam! zamiast tego pójdziesz mierzyć pagodę w Mehemonpa, o dwanaście mil stąd położoną — odpowiedziałbym mu na to, że wcale tem nie jestem zdziwionym.

— I miałbyś pan zupełną słusność, panie Duclos, odrzekłem mu na to. Lecz tym razem wypił on najspokojniej w świecie swą szklanę araku i spędził noc tak, jak sobie przedsięwziął, bo od kiedy miałem Daję, przestałem sprawiać niespodzianki swojemu towarzyszowi.

— Lecz gdzież to poświęcenie? zapytała Jenny, — dotychczas powiedziałabym raczej, że ono po pańskiej stronie.

— Trochę cierpliwości, odrzekłem, chcąc ją uściskać. Odepchnęła mnie mówiąc: A bajadera!

— Tak, bajadera, Jenny, lecz dziewczyna, która szczególnym trafem pozostała czysta i niewinna w swem otoczeniu, wpośród wędrownej trupy tanecznic. Wstąpiła do niej ledwie sześć miesięcy temu, przedtem żyła przy starej matce. Ale w czasie jednej z owych rozlicznych wojen, które pustoszą kraj Karnatu, matkę jej zabito,

posiadłość zniszczono i musiała szukać między tańicznymi środkami do życia. Gdy mnie poznała, serce jej po raz pierwszy się odezwało, co mi sama w swej niewinności wyznała.

— A pan temu wierzyłeś? zapytała Jenny.

— Jakażeś dziwna, — odparłem. — Raz to przecież musi być prawdą w życiu ludzkim, a to dziecko nie miało jeszcze szesnastu lat.

IV.

Po przybyciu do Madras zdałem admirałowi sprawę z poruczonej mi misji, zerwałem me nie liczne stosunki towarzyskie w dzielnicy europejskiej a nawet z krajowcami i poświęciłem cały swój czas Dai.

— Ależ to już istna namiętność — zawołała Jenny z szyderstwem.

— Więcej jak namiętność, to była rozkosz i to rozkosz codzienna.

Wynająłem dość duży domek z ogrodem gęstym i krzaczystym, w którym się mieścił staw o wodzie jasnej i przejrzystej jak kryształ i w tem uroczem ustroniu umieściłem Daję.

— Spodziewam się, że pan ją tam urządziłeś na stopie przyzwoitej? zapytała Jenny sarkastycznie.

— Bardzo przyzwoitej, moja droga, a zresztą biedne dziewczę nie znało żywej duszy w Madras i nie wychodziło nigdy z domu. Odzież jej

stanowił rodzaj długiego płaszcza z bawełny, sypiała tamtejszym zwyczajem na plecionej rogoży, żywiła się odrobiną ryżu, zaprawionego pieprzem, i żuła liście betelu; w ogóle zdawała się żyć tylko próżniactwem, kąpielą, miłością i słońcem. O gdybyś wiedziała, Jenny, co to za rozkosz była dla mnie, z brzaskiem jutrzejki, gdy cała przyroda jeszcze we śnie była pogrążona, blade kwiaty lotosu jeszcze swych liści nie otwały, a stada papug i czapli spoczywały w gniazdach, co to za rozkosz była przechadzać się z Lają nad brzegiem tej cichej wody, zanurzać się w fali świeżej i tajemniczej, podziwiać chyżość i zwinność mej młodej Indyjki, która pływając, ledwie zdawała się muskać powierzchnię wody, patrzeć, jak perliste krople spływały po jej brunatnem ciele, miękkim, jak aksamit!

Jenny rzuciła się niecierpliwie.

— A po kąpeli szedłem pełnić służbę na pokładzie okrętu i wracałem dopiero wieczorem.

Wtedy ułożywszy się na macie i paląc fajeczkę przypatrywałem się tańcom Dai, lub kazałem jej śpiewać pieśni krajowe, „khyuru“ i inne, przyczem przygrywała na gitarze o trzech strunach, zwanej tamże „pehą“.

A innym razem znów opowiadała mi dzieje swych lat dziecinnych, mówiła o swych bogach, o swej naiwnej wierze i dziwacznych zwyczajach. Była to rozmowa nader zajmująca, która jednak

podniecała więcej mą ciekawość, aniżeli zaspakajała.

To znów zadawała mi zagadki, wedle zwyczaju krajowego; w ogóle biedna dziewczyna wysilała się na wszystkie możliwe sposoby, by mi czas przy niej nie wydał się długim, a wieczorem przyrządzała mi ryż na wodzie i wesoło spożywaliliśmy spólnie tę skromną wieczerzę.

— Ależ doprawdy — zawołała Jenny — to wzruszające, to rzecz godna Bernardyna de St. Pierre. To cudowna sielanka, któraby zdołała natchnąć Gessnera.

— Moja kochana — odrzekłem — sielanki mają urok dla ośmnastoletnich młodzieńców, którzy — jeszcze pełni zaparcia się — kochają kobietę nie dla siebie, lecz dla niej, są też zazwyczaj albo zdradzani, albo nieszczęśliwi; z dwudziestu pięciu laty mężczyzna zaczyna dopominać się o udział w szczęściu i dla siebie, lecz gdy doszedł już do lat trzydziestu, staje się zupełnym egoistą i kocha wyłącznie dla siebie, a jeżeli go spotka zdrada, to przynajmniej korzystał z miłości. Otóż musisz wiedzieć, że stosunek z Dają sprawiał mi niewymowną przyjemność, a koła towarzyskie w Madras zanudzały mię na śmierć: kobiety tamtejsze nie miały wdzięków, ani naturalnego powabu, ani oryginalności i nie umiały mówić o niczem innym, prócz tego, co sam wiedziałem o wiele lepiej. A gdy wreszcie mamy zawsze jeszcze na nieszczęście dość czasu by po-

wrócić do cywilizacyi, to jest do kraju sznurówek i płytkiej kokieteryi, urządziłem sobie tymczasem wybornie życie i żyłem w ten sposób trzy miesiące, nie widząc żywej duszy i nie zaznawszy ani chwili nudy.

— Pojmuję to dobrze — rzekła Jenny z przekąsem — ale na szczęście mizantropia ma w sobie to dobre, że uwalnia ot mizantropów.

— Cóż chcesz, moja kochana, jeżeli kto dużo podróżował, ma taką obfitość wrażeń, wspomnień i punktów porównania, że staje się trudnym do zadowolenia, podobnie jak Ludwik XIV., na co się nieraz uskarżała pani de Maintenon. Jest to istne nieszczęście, ale cóż począć, odmienić tego nie można. Lecz powróćmy do Dai. Przynajmniej jej zwiedzić z nią słynną pagodę, oddaloną od Madrasu o dwie mile drogi morzem, a nie chcąc z łatwo zrozumiałych przyczyn brać łodzi z mej fregaty, wynająłem czółno, które miało przewieźć mnie, Daję i jej sługę, starą metyskę.

Przybyliśmy na brzeg, gdzie już na nas czekało czółno wraz z swym właścicielem i sześciu wiosłarzami, wsiedliśmy zatem i kazałem wypłynąć na pełne morze.

Zaledwie jednak łódź odbiła od brzegu, spostrzegłem, że była ogromnie przeciężona, bo i z tej części jej, która ma wystawać nad powierzchnią morza, ledwie sześć cali sterczało nad wodę.

— Psie! — zawołałem przyskakując z wście-

kłóścią do właściciela łodzi — dlaczegoś tak obciążył tę łódź, nie uprzedziwszy mnie o tem? Wracaj natychmiast do brzegu, albo ci tem wiośłem roztrzaskam głowę.

— Bóg jest wielki — odparło to bydlę z zimną krwią.

Ale chociaż Bóg był wielki, wracać już było zapóźno, bo nas pochwyliły bałwany morskie.

Pierwsza fala zalała tylną część łodzi i nappełniła ją do połowy. Przeklęta łódź była tak ciężką, że napróżno wysiłałem się koło steru, nie mogłem nią w żaden sposób kierować. Druga fala zalała łódź całą. Nie było ani chwili do stracenia.

— Daja, chodź za mną! — krzyknąłem do Indyjki, rzucając się w morze, bez najmniejszej obawy o nią, bo wiedziałem, że umie pływać, jak ryba.

Zaledwie wskoczyłem do wody, gdy świeża fala przeszła przezemnie, warcząc mi nad głową, zanurzyłem się i silnem uderzeniem nogi wypłynąłem znów na wierzch. Zdala widziałem wiosła naszej łodzi, a tuż przy sobie Daję, która z okrzykiem radości rzuciła się ku mnie z prośbą, bym się opierał o nią, jeżeli jestem znużony. Podziękowałem i ofiarowałem jej nawzajem swą pomoc, oraz radziłem, by się kierowała za mną celem uniknienia skał podwodnych, sondowałem bowiem nieraz tę część morza i znałem ją, jak swój własny pokój.

Płynęliśmy tak przez kilka minut, śmiejąc się nawet z naszej przygody, bo na trzysta kroków przed nami rozciągało się wybrzeże.

Wtem nagle poczułem, że mnie jakiś ogromny ciężar ściąga na dół; zanurzając się patrzę w tę stronę: to stara metyska, która, chwytając się, czego mogła, uczepiła się mej nogi; fale rzuciły ją aż w to miejsce na pół martwą. Była to jej agonja. Ratunek dla niej był już niemożliwym, starałem się więc od niej uwolnić. Lecz było to niemożliwem. Z nadludzkim wysileniem wychyliłem się raz jeszcze nad powierzchnię morza i zawołałem:

— Daja, chodź tu na pomoc!

Pocziwa dziewczyna przerażona pospieszyła do mnie natychmiast i kazała mi się oprzeć obiema rękami na jej ramionach, a sama pływała tylko nogami.

Uśluchałem tego, bo przekłeta metyska trzymała się mnie wciąż i nie mogłem sam żadnego uczynić poruszenia. Daja pracowała z wyczerpaniem i posuwała się zwolna naprzód wołając pomocy. Wtem metyska konając w przedśmiertelnym kurczu ukąsiła mnie w kolano, a ruch ten pociągnął Daję i mnie w głąb morza.

— Na szczęście powróciłeś pan na wierzch — rzekła z zimną krwią Jenny.

— Tak jest, na szczęście — odpowiedziałem. — Byłem bardzo osłabiony i już począłem

tracić przytomność, gdy wtem silna fala unosząc mnie rzuciła na skałę, przyczem odniosłem tę ranę na głowie, o którą się nieraz tak ciekawie dopytywałeś. —

W dwa tygodnie po tym fatalnym wypadku odzyskałem zupełnie przytomność: leżałem w szpitalu na ziemi, na wygodnem pościaniu, a przy mnie stał zacny i poczciwy Duclos.

— No, nareszcie, — rzekł, widząc, że otwieram oczy, — kosztowało to niemało trudu. Jakżeż się pan czujesz? Byliśmy porządnie w strachu o pana.

— Czuję się bardzo osłabionym — odpowiedziałem, usiłując skupić swe myśli i przywołać zatarte wspomnienia. —

— A gdzie Daja? — wykrzyknąłem nagle.

— Kto to jest Daja? Czy to pies?

Stłumiłem z trudem niecierpliwość.

— Czy nie wiesz pan, panie Duclos, gdzie mój lokaj Fryc?

— Wszedł niedawno i ma za godzinę powrócić.

— Za godzinę, to długo, ale poczekam.

— Nie wątpię wcale, że pan poczekasz. To już nie jes tak, jak w owej dyabelskiej podróży, gdzie mi pan kazałeś pędzić to tu, to tam i człowiek nigdy nie był pewnym, czy przespi noc spokojnie, dyba dopiero nazajutrz rano, gdy się

obudził. Pamiętasz pan jeszcze ów plan Jaffanapatnamu?

— Cóż tam słychać nowego, panie Duclos? — zapytałem, by odwrócić rozmowę od tych wspomnień, które były dla mnie tak bolesne w obec niepewności o losie Dai.

— O, zabawna historya, która obiega właśnie wszystkie salony dzielnicy europejskiej naszego miasta. Wyobraź pan sobie, jak się okazało, jeden z oficerów naszej dywizyi utrzymywał stosunek miłosny z dziewczyną indyjską. Romans ten tak bardzo go zajmował, tak pochłaniał wszystek jego czas wolny, że przestał zupełnie bywać w towarzystwie. Otóż damy z towarzystwa tak sobie powiedziały: Wartoby odzyskać tego miłego i wesołego młodziana, który był duszą naszych zabaw i balów, i w tym celu trzebaby mu jakiego figla wypłatać. I wiesz pan, co za figlamu wypłatanano? Zgadnij!

— Mów, mów dalej! — zawołałem, a byłem błądy, jak trup, bo sam nie wiem, co za złowrogie przeczucie ścisnęło mi serce. A Duclos tak dalej opowiadał:

— To jest, figla tego splełano na jemu, lecz raczej owej dziewczynie. Oficer, którego nazwisko na honor mi niewiadome, ciężko załorował. Cóż więc czynią? Oto kazano powiedzieć jej dziewczynie: „Kochanek twój niestety już zagnał, piękna

dziewczyno o cudownych oczach, wracaj do swej ojezyzny i zapomnij o nim!“

— Na Boga, kto to uczynił? Mów, mów, Duclosie! zawołałem gwałtownie, zrywając się na pół z mego łoża.

— Nie wiem tego, daję słowo. Ja w towarzystwach nie bywam, a historyjkę tę opowiedział mi komisarz policyi. Kto to uczynił? Prawdopodobnie piękne panie i panowie, którzy chcieli znów pozyskać dla swych salonów oficera, będącego tak miłym towarzyszem. W tak nieznośnem mieście, jak Madras, jest to rzecz naturalna, że się dba o towarzystwo. Ale to na tem nie koniec jeszcze....

— Jakto nie koniec? zapytałem. I zdawało mi się, że to sen okropny mnie dręczy i na pół nieprzytomny słuchałem opowiadania Duclosa.

— Nie koniec. Posłuchaj dalej. Oto ta głupia dziewczyna uwierzyła temu i patrz, jak daleko sięgają przesady i fanatyzm tych barbarzyńców, nie ramyśla się ani chwilę; wiedziała dobrze, że nie otrzyma ciała swego kochanka, którego miała za zmarłego, bo nasza religia nie zna szalonego zwyczaju, jaki jest u nich, palenia ciała na stosie, skoro zabrzmi de profundis. Cóż więc czyni szalona? Zbiera wszystkie podarunki, jakie otrzymała niegdyś od kochanka, układa z nich stos, zapala go i ginie na nim w płomieniach, wśród śpiewu indyjskich kapłanów, zachwyconych

tym wypadkiem, który teraz należy do rzadkości. Oto, co mniej więcej wtedy usłyszałem, Jenny, straszliwy dreszcz mnie ogarnął, zimny pot wystąpił na czoło, wykrzyknąłem „Daja“ i straciłem przytomność.

.

Gdy kończyłem opowiadanie tego straszego wypadku, patrzałem z uwagą na Jenny, lecz na jej pięknej twarzy nie malowało się nic innego, prócz wielkiego zdumienia.

— A więc doprawdy — zapytała — owa dziewczyna spaliła się, sądząc, że pan nie żyjesz?

— Tak jest, to była ona.

— Przyznaję, że to jest rodzaj poświęcenia, którego nie jestem w stanie zrozumieć. Ta dziewczyna była szaloną...

— W najwyższym stopniu — odrzekłem.

W istocie jednak, chociaż Jenny miała duszę oschłą i zimną, opowiadanie moje uczyniło na niej pewne wrażenie, policzki jej się ożywiły czy to od niechęci, czy też zazdrości; wiedziała, że wygląda z tem bardzo korzystnie i chciała zużytkować te zalety fizyczne, które zawdzięczała swemu wzruszeniu. Wszak to tak naturalne!

— Bądź pan tak dobrym przejść do mego saloniku — rzekła — a ja tymczasem zmienię toaletę, poczem mnie pan odprowadzisz do pani d'Arville.

— Jestem na twe usługi — odparłem i poszedłem do salonu.

Moje indyjskie wspomnienia bardzo mnie zasmuciły, bo to okres mego życia, którybym rad jak najprędzej wymazać z pamięci. Byłem więc smutny i zadumany, gdy Jenny znów się pojawiła, olśniewająca pięknnością, strojem, wdziękiem.

I błyskawiczna myśl strzeliła mi nagle do głowy.

— Jakżeż ci się wydaję? — zapytała Jenny, patrząc w zwierciadło i zapinając bransoletkę.

— Jesteś cudowną, Jenny; nigdy cię nie widziałem tak piękną. Oczy twe błyszczą, jak dwie gwiazdy, a policzki lekko zaróżowione.

— I komuż to mam zawdzięczać, jeżeli nie tobie? — rzekła, podając mi dłoń do ucałowania. To te twoje szkaradne opowiadania wzruszają mimowoli słuchacza. Lecz czy nie jestem na twarzy zanadto czerwoną?

— Wcale nie, owszem, jesteś uroczą. Ale ponieważ to mnie właśnie zawdzięczasz ten twój dzisiejszy powab, a więc poświęć mi go, o Jenny. Oto jesteś piękna, strojna, czarująca, nie wychodź więc dzisiaj nigdzie z domu. Patrz, te wspomnienia mnie zasmuciły, byłbym tak szczęśliwym, gdybym mógł spędzić ten wieczór sam z tobą, bez obcych ludzi. Jenny! uczyni to dla mnie, błagam cię!

— Cóż znowu! — odparła, śmiejąc się. — Co za szaleństwo, na cóż ci tego? Mówisz sam,

że nigdy ci się tak piękną nie wydałam, a chcesz, bym poświęciła wieczór dzisiejszy, i to dlaczego? Dla kaprysów, dziwacznych zachcianek. Gdyby jeszcze przynajmniej rzecz warta była poświęcenia, nie mówię...

— Ależ to ja cię proszę, Jenny, i mnie pozostaw ocenienie wartości.

— Jesteś dzieckiem, — odpowiedziała, a zadzwoniwszy rzekła do służącej:

— Julio, każ zajeżdżać.

Nie mogłem ukryć niecierpliwości.

— Hola — zawołała Jenny swym słodkim głosem — zły humor, gniew! strzeż się pan, wielbicielu mi nie brak i gdybym tylko chciała być zalotną...

— O co do tego, moja droga, nie jestem już dzieckiem i doszedłem do tego stopnia niedbałości, iż zadowolam się jednym przekonaniem.

— A to jest?

— Że niepodobna, by kobieta mogła równocześnie mieć dwóch kochanków. Z temi zasadami wybór w miłości nie jest nigdy trudnym i spodziewam się, że i w Anglii, dokąd się właśnie wybieram, nie sprawi mi trudności...

— A! gniew, wyjazd! to zabawne — rzekła Jenny niedbale.

— Gniew? o mój Boże, bynajmniej. To podróż już od dawna ułożona, bo ta mała Luizka dawno już na mnie nalega, bym jej pokazał kraj pra-

wdziwych milordów, jak się naiwne dziecko wyraża. Jeżeli pani nie wierzysz, oto list mego fabrykanta powozów, który właśnie otrzymałem. Czytaj.

Jenny porwała szybko list i poczęła czytać:

„Mam zaszczyt zawiadomić W. Pana, że duży powóz podróżny i bryczka będą gotowe jutro to jest w piątek, równie jak i walizki, pudła na kapelusze itd.“

— A więc pan układałeś podróż, nie uprzedziwszy mnie o tem wcale, nie biorąc na mnie żadnego względu!

— Bo widzisz, Jenny, nie znoszę tych scen pożegnalnych. Byłbym wreszcie napisał kilka słów kochanemu Oktawiuszowi.

— Dobrze panie, wybornie, a więc pan zrywasz pierwszy, wyjeżdżasz, wygrana po pańskiej stronie!

— Wszak to gra, Jenny.

Ucałowałem ją w rękę i wyszedłem.

.....

Odbyłem podróż do Anglii, a z Jenny nie spotkałem się nigdy więcej w życiu.

~~~~~

## PODARUNEK.

— Jestem twoją — wyszeptała nareszcie po wóz nasz potoczył się po drodze do Dieppe. Znużona wrażeniami dnia oparła swą główkę o mnie tak, że mogłem liczyć uderzenia jej serca, a gęste zwoje ciemnych włosów, potrząsane porannym wiatrem, muskały lekko me czoło.

Wkrótce świetlany krąg na nieboskłoniu począł zwiastować powrót jutrzzenki, szczyty gór zabarwiły się purpurą, a złociste promienie majowego słońca rozprószyły mgłę, roztaczając jeszcze ponad równiną swój welon przejrzysty. Obudziła się ze snu, usta jej wyszeptały moje imię, zdziwionem okiem powiodła po wnętrzu powozu, a skulpiwszy swe myśli spłonęła rumieńcem i ukryła cudną twarz na mej piersi.

Byłem świadkiem obudzenia się ze snu przy rody, przy sobie trzymałem ubóstwioną kobietę i ogarnęło mnie jakieś nieokreślone uczucie zachwyty. Wrażenia miłości i wiosny mąciły się w mej głowie, duszę mą przepelniała niewysłowiona radość i nie miałem słów na wyrażenie tej błogości, tego szczęścia, które usposabia człowieka do słodkich uczuć i szlachetnych uczynków

Powóz nasz zatrzymał się, by zmienić konie, trzeba było nieco zaczekać, bo wszystkie były zajęte.

W tem zbliżył się do nas biedny starzec ze swym psem, podnieśli głowę z wyrazem obawy i prośby, żebrak niósł w ręku kapelusz, a zwierzę blaszaną miseczkę w pysku. Uprzedziła mnie i delikatnymi palcami wydobyła z małej jedwabnej sakiewki monetę, którą rzuciła starcowi w kapelusz, a słodki uśmiech jej zdawał się mówić do nieszczęśliwego: wybacz mi tę jałmużnę, którą ci daję. Biedak musiał to zrozumieć, wdzięczne jego spojrzenie odpowiedziało: Bądź błogosławiona, młoda paro! oby wam szczęście długo sprzyjało, niechaj rozkosze wasze długie trwają lata!... Ona się domyśliła tych słów w jego wzroku, bo drobna jej dłoń uścisnęła moją rękę.

Biedak i stary pies jego usiedli na kamiennej ławie, obok żołnierza, który miał także psa, ale młodego, śmiałego, spoglądającego odważnie na przechodniów. Żołnierz strudzony położył broń koło siebie i dzielił się skromną wieczerzą z swym towarzyszem podróży.

W tem głuchy turkot, zrazu niewyraźny, zbliżał się coraz bardziej i ujrzelśmy wspaniałą karete, poprowadzoną kuryerem na dzielnym rumaku, który z głośnym krzykiem domagał się koni. Koni jednak nie było, nowi przybysze musieli więc czekać zarówno z nami. Rzuciłem szybkie spojrzenie do wnętrza tego świetnego po-

wozu, siedział w nim młody jeszcze mężczyzna obok bardzo pięknej kobiety, ale kwaśne ich miny i gniewne twarze mówiły, że się sprzeczą z sobą z zawziętością i goryczą.

Wkrótce mężczyzna odwrócił się gwałtownie od swej towarzyszki i wychylił głowę przez okno powozu. Wtedy to zbliżył się do niego stary żebrak ze swym psem, z nieufnością i trwogą, chcąc obudzić litość podróżnego. Ten jednak rzucił im brutalną obelgę, łaza zakręciła się w oku starca i zwolna powrócił na swe miejsce.

Do karety zaprzężono świeże konie, stłudy rzucili na ziemię resztki swego śniadania, a oba psy, żebraka i żołnierza, poskoczyły ku nim.

W tem konie ruszyły z miejsca tratując jednego z psów, który się dostał pod koła powozu — był to pies żebraka. Jeszcze jeden krzyk wydał i zwrócił ostatni raz gasnące oczy na swego pana, który pogrążony w ponurej rozpaczce upadł obok niego na ziemię, nie mogąc znaleźć łyzy w suchych źrenicach.

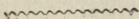
— Masz, mój pocziwce — zawołałem i dwie monety potoczyły się u stóp jego, ale on na nie nie zwrócił uwagi i patrzył wciąż na martwe wierne zwierzę.

Stary żołnierz płakał i wydawał się bardzo dotknięty tem nieszczęściem, a potem zdobywając się na widoczne wysilenie, zbliżył się szybko do

starca i dając mu w rękę powróż, do którego był pies jego uwiązany, rzekł:

— Oto weź go, biedny człowieku, ja wkrótce przybędę pod strzechę mego ojca, zostawiam ci więc mego wiernego Hektora.

I ocierając pokaleczoną dłońią oczy pochwycił torbę podróżną i prędkim oddalił się krokiem. A stary żebrak głaskał swego nowego towarzysza, lecz oczy jego wciąż były zwrócone na psa nieżywego. Helena zaś rzekła do mnie: Ten żołnierz od nas szczęśliwszy, on ofiarował temu biednemu swego wiernego towarzysza, a my nic mu innego dać nie mogli prócz pieniędzy.



## Zasadzka.

Było to w roku 1594. Cudny dzień sierpniowy miał się ku końcowi, słońce rzucało już skośno promienie swe na kwitnące pola i lasy w okolicy miasta Bordeaux. Rośliny ożywione świeżym i orzeźwiającym wietrzykiem podnosiły od ziemi swe pochylone łodygi, a ptaki gotowe do snu układały się na zielonej posadzce leśnej, żegnając hałaśliwym koncertem zachodzące słońce.

W owym czasie wewnętrznych zamieszek i wojen domowych rzadko kto odważał się wyjechać z miasta, a gdy go do tego niezbędna zmuszała potrzeba, uzbrajał się dobrze sam lub częściej puszczał się pod osłoną zbrojnego orszaku, tak obawiano się rzezimieszków i opryszków, którzy niepokoiili okolicę, łupiąc i ściągając bogaty okup od podróżnych.

Tego dnia jednak, o którym wspomnieliśmy, o godzinie, kiedy robotnicy przerywają pracę,



dwóch mężczyzn opuściło Bordeaux, zdążając ku pobliskiemu laskowi Barret. Nie mieli oni na sobie płaszczów żołnierskich, ni tarcz, pancerzy, ani też długich sztyletów u boku, niezbędnych w owym czasie do wojennego rynsztunku, a jednak rusznice o długich, ołowianych lufach, w które się zaopatrzyli, wskazywały dobitnie, że celem ich wycieczki nie jest zwykła przechadzka.

Czas jakiś stali w milczeniu, ukryci w zaroślach, przez które wiodła droga do miasta, i spoglądali ku niej z niecierpliwością, aż wreszcie jeden z nich przerwał milczenie:

— Nic jeszcze nie widać — wykrzyknął, miotając dzikie przekleństwo — a oto ósma wybiła na kościele św. Andrzeja. Czy możesz sobie wytlómaczyć to spóźnienie, Bertrandzie?

— Wiesz co, Maurycy? — odparł drugi towarzysz, który wydawał się mniej zdeterminowany — jeżelibyś mnie chciał posłuchać, zaniechali-byśmy naszego przedsięwzięcia. Prawdopodobnie pomyliłeś się co do dnia i nasza wyprawa jest chybioną.

— Chybiona, powiadasz? Nie, zanadto jestem pewnym swego. Czyż nie jesteśmy w połowie sierpnia i czy nie jest to pora, o której regularnie przeor św. Dominika wyjeżdża pobierać dziesięciny? Stary ten mnich bogaty i czeka nas piękna zdobycz.

— Targnąć się na sługę bożego! — zawołał Bertrand — to okropna zbrodnia.

— Ba, na najbliższym jubileuszu uzyskamy odpuszczenie. Zresztą, czyż ci słudzy kościoła nie tyją na nasze koszta? A tenże właśnie, czy miał litość nad tobą, gdy cię zawezwano do oficyała za to, żeś pozwolił sobie zabić kilka nędznych królików, własność duchownego magnata?

— To prawda. Plecy me mogą jeszcze potwierdzić, ile mnie kosztowały te przeklęte króliki. Ale przeor znów nieraz wsparł mego ojca, mego biednego ojca, który przezemnie nędznika chodzi o kiju żebraczym. Dziś właśnie wyruszył z miasta zbierać jałmużnę po wsiach okolicznych i tą drogą ma wracać. Gdyby ujrzał, jakim się trudnię rzemiosłem, nie przeżyłby tego.

— Wiecznie te skrupuły — przerwał mu niecierpliwie Maurycy.

— Biedny głupcze! Czy twoja uczciwość wybawi cię od śmierci głodowej, czy pomoże ci poślubić twą ukochaną Gertrudę, córkę polowego Raimband?

— Przebóg, po co wymówiłeś to nazwisko? Tak, to musi się stać, niech się spełni moje przeznaczenie!

— Milcz! — przerwał mu Maurycy, przykładając ucho do ziemi — słyszałem odgłos jakiś. Na Boga, nic nie straciliśmy, czekając cierpliwie. Odwagi, fortuna zbliża się do nas!

I w istocie, ledwie tych słów domówił, obłok kurzu podniósł się zdala, a rozchodząc się zwolna odsłonił powóz przeora klasztoru św. Dominika, który się zbliżał ciągniony leniwie przez cztery silne muły. Po drugiej zaś stronie drogi stąpał z trudnością starzec o siwej brodzie w łachmanach, dźwigając wór żebraczy, powóz przeora zasłaniał go całkowicie.

W tej właśnie chwili, gdy podróżni dosięgli końca lasu, Maurycy trącił łokciem towarzysza.

— Teraz bacność — rzekł cicho, opatrując broń — ja biorę na siebie pocztyliona, ty celuj do lokaja. Gdy tych dwóch sprzątniemy, wszystko pójdzie, jak z płatka. Bacność, pal!

I zarazem sam wykonał komendę, lecz proch spalił mu się na panewce, a rusznica nie wystrzeliła. Bertrand otarł zimny pot z czoła i strzelił odwróciwszy głowę. Kula świsnęła gwałtownie, a o ich uszy odbił się głuchy jęk. Maurycy rzucił się na drogę. Bertrand podążył za nim machinalnie, ale powóz przeora już był daleko. Huk strzału, przerażając muły, przyspieszył jeszcze ich krok.

— Przekleństwo! — wykrzyknął Maurycy — chybiliśmy ich. Lecz kogoż trafiłeś? Zdawało mi się, że słyszałem coś, jakby...

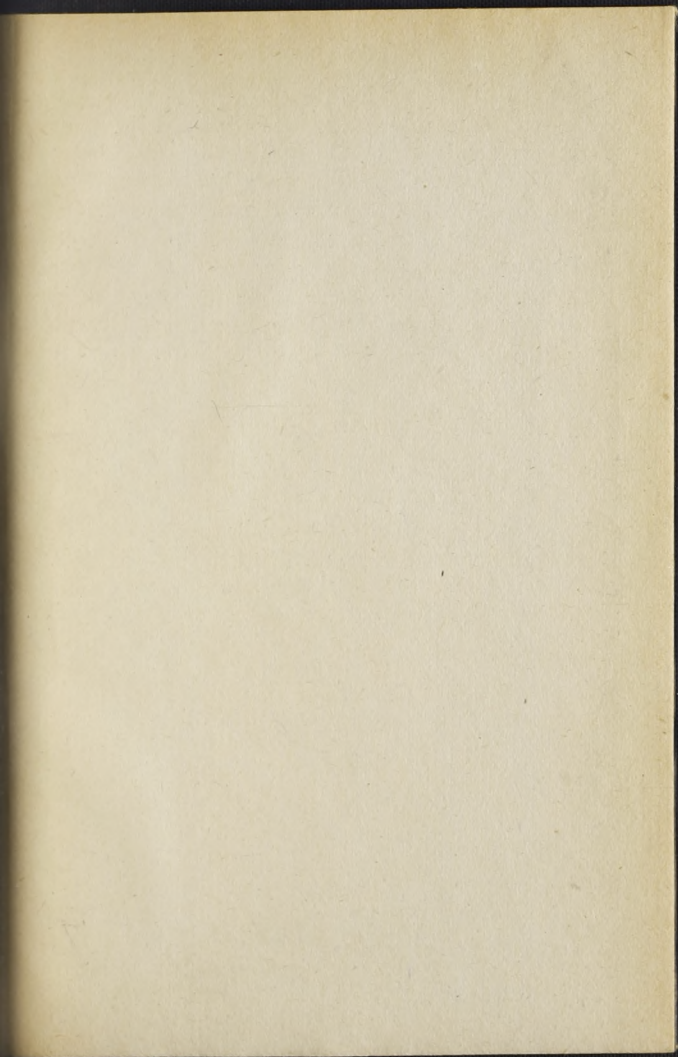
I w tejże chwili dostrzegł o kilka kroków

starca, leżącego na ziemi, bez życia, a przy nim kałużę krwi.

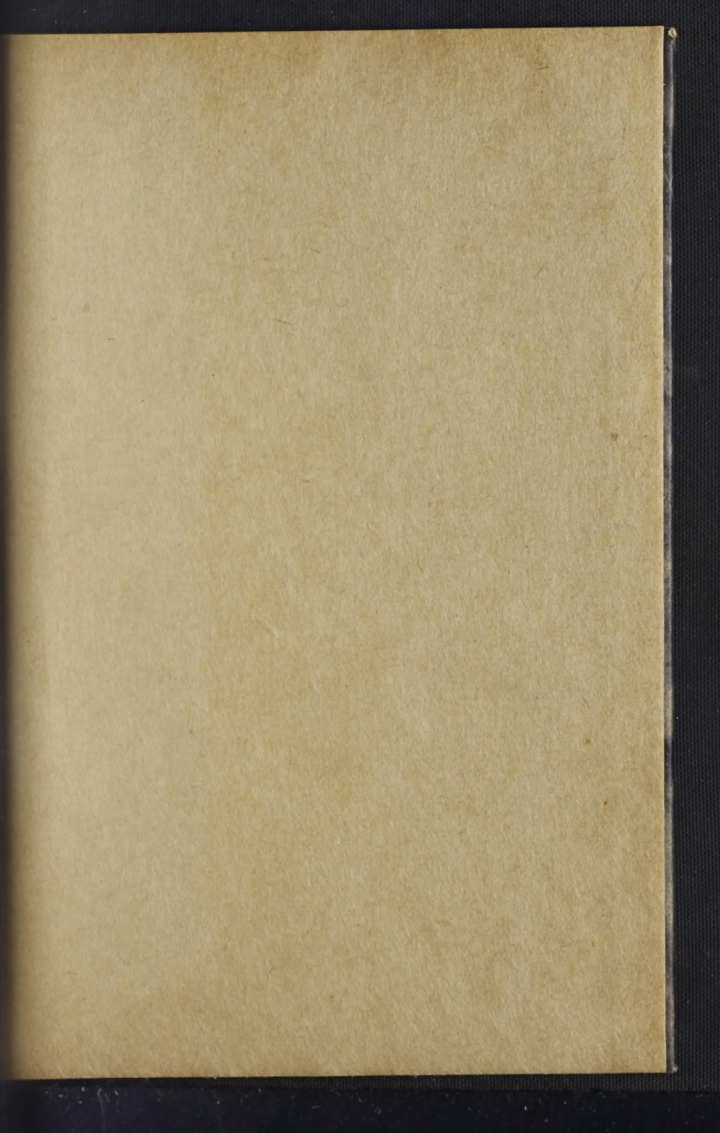
— Popatrz tam — mówił chłodno dalej — oto twoja zwierzyna. Ładne miałeś polowanie.

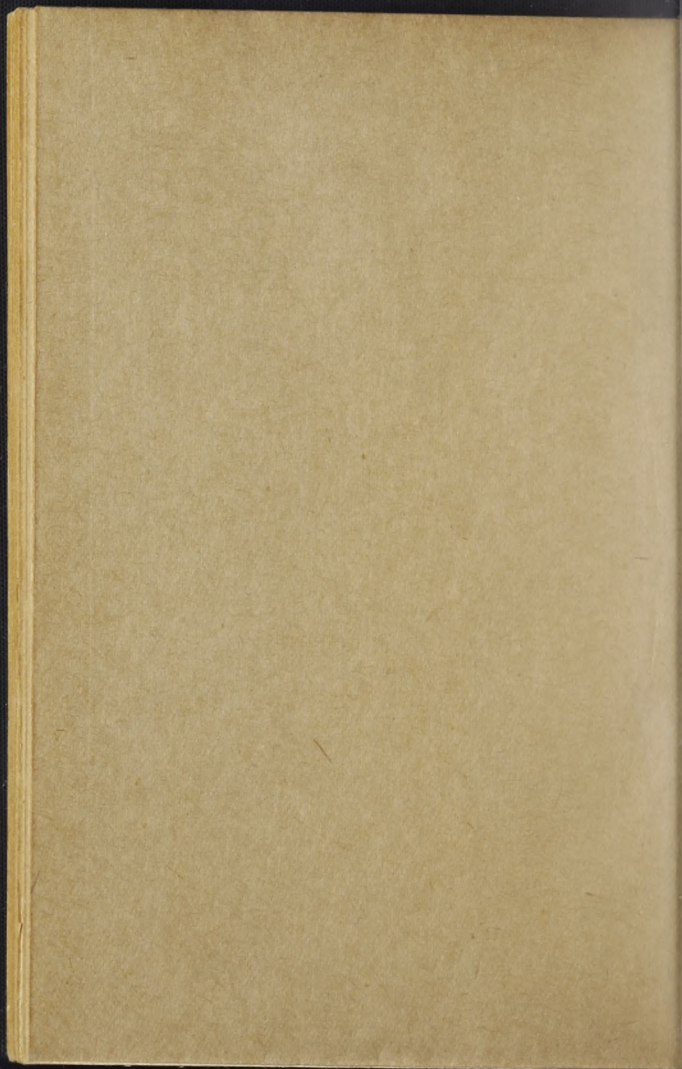
Ale Bertrand go już nie słuchał. Na jeden rzut oka poznał starca, z przeraźliwym krzykiem rzucił się na te zimne zwłoki, obejmując je z rozpaczą w sercu. Nieszczęśliwy zabił własnego ojca!...



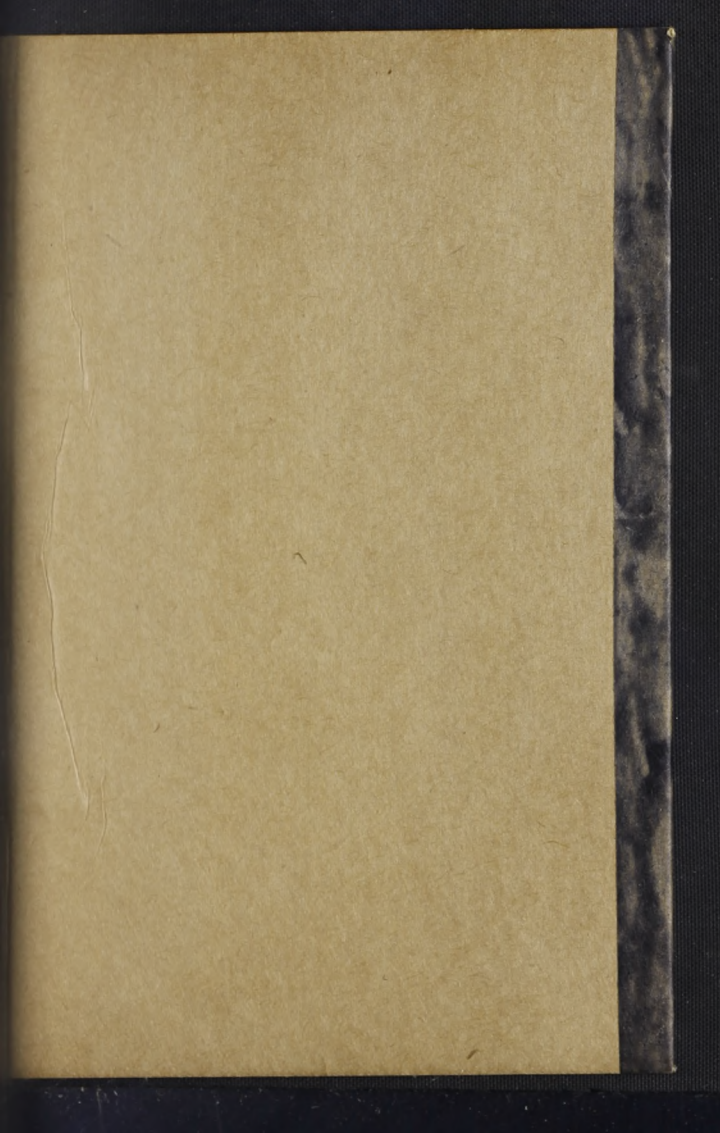


B. P. 302











540779

---

---

302.